Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

Opozycja przeciw SAFE.
Rząd tłumaczy i uspokaja Str. 3

Nie „czy", ale „kiedy".
USA zaatakują Iran? Str. 4

Ukraina. 4 lata wojny i końca nie widać Str. 6–10

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Poniedziałek, 23.02.2026 • Nr 16 (2527) • Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

eprasa.pl 9ba1bacde5

AUTOPROMOCJA 0110987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W piątek
magazyn Puls

Dlaczego Donald Trump chce zaatakować Iran? Jakie skutki nowa wojna na Bliskim Wschodzie może mieć dla Polski i dla Europy?

Marek Mazurkiewicz
publicysta

NIEBEZPIECZNA GRA FOBIAMI

Na kartach polskiej historii zapisało się wielu negatywnych bohaterów, ale tylko kilku z nich potrafimy bez trudu wymienić. Szczególną rolę odegrała w tym także literatura, która w istotny sposób ukształtowała nasz pogląd na przeszłość. Henryk Sienkiewicz w „Potopie" w bardzo negatywnych barwach sportretował Janusza Radziwiłła, którego dzięki temu zapamiętaliśmy jako zdrajcę I Rzeczypospolitej.

Plastycznie przedstawił tę historię Jerzy Hoffmann w swojej kinowej ekranizacji „Potopu". W jednej z kluczowych scen filmu Onufry Zagłoba „po trzykroć" określa Janusza Radziwiłła zdrajcą, a zgromadzeni w sali szlachcice, na czele z Wołodyjowskim, rzucają pod nogi magnata swoje pułkownikowskie buławy, wymawiając mu w ten sposób posłuszeństwo - w reakcji na toast na cześć króla szwedzkiego.

Współczesna historiografia relatywizuje ocenę Radziwiłła i rzuca nowe światło na kontekst oraz przyczyny zawarcia ze Szwedami układu w Kiejdanach z 1655 r. Na jego mocy Wielkie Księstwo Litewskie miało wejść pod szwedzki protektorat. Janusz Radziwiłł i jego kuzyn Bogusław mieli podjąć tę decyzję, stojąc na gruncie realizmu politycznego. Obawiali się, że przegrana Korony z Rosją w toczącym się równolegle konflikcie doprowadzi do podporządkowania Litwy carowi i utraty wolności i tożsamości. Ponad 370 lat później nie potrzebujemy literackich metafor, by dostrzec zagrożenie ze strony Rosji. Z Litwą, Szwecją i resztą Europy łączą nas sojusze oparte na Unii Europejskiej i NATO. Również Niemcy pokazały w ostatnich latach, że mogą być istotnym elementem wsparcia w obliczu rosyjskiej agresji. Tym bardziej wobec słabnącej i niepewnej pomocy USA, Europa i Polska muszą zbudować własny pancerz przed rosyjskim zagrożeniem. Temu służy europejski program SAFE, zakładający wspólne finansowanie i rozwój zdolności obronnych. Stojąc na gruncie realizmu politycznego, nie mamy wyjścia i powinniśmy z niego skorzystać, bo zagrożenie jest realne. Ci politycy, którzy doszukują się w nim niemieckiego zagrożenia, odwołują się do irracjonalnych fobii i przebrzmiałych resentymentów. Oby historia nie oceniła ich tak, jak przez lata oceniano Radziwiłła.

Premier Orban zablokował właśnie europejską pomoc dla Ukrainy, Kaczyński próbuje zablokować SAFE, czyli pieniądze na obronę i polski przemysł zbrojeniowy. Zgadnijcie, kto się cieszy?

Premier Donald Tusk na platformie X

POLSKI TWÓRCA BUDYNKÓW PNĄCYCH SIĘ DO NIEBA

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

W moich felietonach chętnie przypominam sylwetki i dokonania wybitnych Polaków, a zwłaszcza wybitnych polskich inżynierów, których pamięć - jak stale twierdzę - zbyt mało się szanuje. Człowiekiem, którego dokonania chcę Państwu dzisiaj przypomnieć, był Stefan Władysław Bryła, wybitny budowniczy.

Urodził się 140 lat temu w Krakowie, ale studia kończył w 1908 roku na Politechnice Lwowskiej, bo w Krakowie nie było w tym czasie uczelni technicznej.

Po studiach został nauczycielem na macierzystej uczelni, zdobywając w 1909 roku doktorat, a w 1910 - habilitację. Od 1935 roku był profesorem Politechniki Warszawskiej i w latach 1938-1939 dziekanem Wydziału Architektury.

Jednak nie jego kariera naukowa skłoniła mnie do tego, by Państwu przedstawić tego niezwykłego człowieka. Głównie zasłynął bowiem z tego, że jako pierwszy (na świecie!) opracował technologię tworzenia konstrukcji spawanych w budownictwie. Pierwszą taką konstrukcją całkowicie spawaną był most na rzece Słudwi wybudowany w 1929 roku. Dla obejrzenia tej pionierskiej konstrukcji zjeżdżali się inżynierowie z Niemiec i z Francji, a nazwisko inżyniera Bryły stało się znane w świecie.

Sam twórca doszedł do słusznego wniosku, że spawane konstrukcje stalowe mogą się szczególnie przydać przy budowie wysokich budynków. W latach 1931 - 1933 wzniósł w Warszawie mający 17 kondygnacji budynek dla Towarzystwa Ubezpieczeń Prudential. Gmach ten odegrał pewną rolę podczas Powstania Warszawskiego, najpierw zdobyty przez powstańców przyciągał uwagę biało-czerwoną flagą powiewającą nad Warszawą, a potem ostrzelany przez Niemców (trafiło go ponad 1000 pocisków - a budynek stał!) został uszkodzony dopiero pociskiem o masie 2 ton kalibru 600 mm z moździerza. Po wojnie budynek został odbudowany i służy do dziś jako hotel.

Inżynier Bryła wznosił pnące się do nieba wieżowce jedne po drugich, a jego budowle zdobywały uznanie swą śmiałą konstrukcję i architekturą.

Niepodobna oczywiście ich wszystkich wymieniać, ale wspomnę jako przykładowe: wzniesiony w 1922 roku akademik w Warszawie (10 kondygnacji), zbudowany w 1929 roku budynek Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Łodzi (8 kondygnacji), skonstruowany w 1930 roku gmach Urzędu Skarbowego w Katowicach („Drapacz Chmur", określany także jako „mister Katowic") - 14 kondygnacji, wybudowany w 1934 roku budynek mieszkalny Funduszu Kwaterunku Wojskowego w Warszawie określany ze względu na oryginalny kształt jako „dom Bez Kantów" i wiele innych.

Pamiętajmy więc o tym wybitnym inżynierze, zwłaszcza że w 1995 American Welding Society uhonorowało dorobek Stefana Bryły nagrodą „Historic Welded Structure Award", Polski Związek Inżynierów i Techników Budownictwa ustanowił w roku 1964 nagrodę PZITB im. Stefana Bryły, która jest przyznawana corocznie, indywidualnie i jednorazowo za osiągnięcia naukowo-badawcze lub naukowo-techniczne w dziedzinie konstrukcji budowlanych, a w roku 1994 Rada Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej nadała jednej z sal Gmachu Architektury imię profesora Stefana Bryły.

PAMIĘCI PROFESORA

Tadeusz Płatek
publicysta

Zmarł profesor Stanisław Krawczyński. Wybitny dyrygent, dwukrotnie rektor krakowskiej Akademii Muzycznej, mój harcerski druh i nauczyciel. Myślę, że najbardziej zasłużył się w muzyce tym, że odkrywał dzieła polskich kompozytorów, które często - bez jego inicjatywy - pozostałyby na papierze. A tak brzmią w naszych uszach i sercach i mamy wrażenie, że brzmiały zawsze. Ktoś musiał jednak po nie sięgnąć, namówić na nie muzyków, zorganizować próby. Wszystko to zawsze działo się dlatego, że Krawczyńskiemu nikt nie odmawiał, spróbuję wyjaśnić dlaczego.

On był szlachetny. Taki sobie wybrał sposób na życie. Stanisław Krawczyński, będąc dyrektorem Chóru Chłopięcego Filharmonii Krakowskiej, Chóru Polskiego Radia, nauczycielem orkiestry w podstawowej, a potem średniej szkole muzycznej, szczepowym harcerskiego Szczepu Słowiki, czy rektorem Akademii Muzycznej w Krakowie - zawsze pozostawał ciepłym, otwartym człowiekiem. Który zawsze ma czas, który pięknie słucha i patrzy w oczy - nigdy z góry.

Gdy wiele lat temu dostałem się do Akademii Muzycznej, on był rektorem, ale znałem go dobrze dużo wcześniej. W podstawówce, gdzie grałem na skrzypcach, był moim pierwszym dyrygentem. I wtedy, mając kilkanaście lat, byłem, jak moi koledzy i koleżanki, zauroczony jego poczuciem humoru. Potem poznałem go jako harcerza - wspaniałego instruktora, który nie siedział w namiocie komendy, ale budował z małymi druhami polowe kuchnie w Wierchomli. By potem w trakcie ciszy poobiedniej studiować partytury Gablentza.

Trzydzieści lat później poprosiłem, by został promotorem mojej pracy doktorskiej. - Pewnie, Tadziu - powiedział tylko. „Tadziu", bo chyba z wszystkimi był na ty, a z prawie wszystkimi - w zdrobniałej, po krakowsku, formie.

Zawsze czułem, że chodzi z niewidzialną batutą, którą znienacka przebija balony: bufonady, fanfaronady i jeszcze 30 innych synonimów tego słowa, nie bez powodu obecnych w języku polskim. Bo jesteśmy zarozumiałym, dość ponurym narodem i gdy pojawia się wśród nas Kawaler Orderu Uśmiechu, to wszystkim żyje się pogodnie. Przy nim zapominaliśmy, że praca musi być „ciężka", sytuacje „bez wyjścia". Jak piszą teraz znajomi druhowie i muzycy - „przy innym ogniu, w inną noc, do zobaczenia znów."

eprasa.pl 9ba1bacde5

SAFE: PIS PROTESTUJE, RZĄD USPOKAJA

Program SAFE, pozwalający na dozbrojenie polskiej armii, budzi sprzeciw w PiS. Nie wiadomo, co zrobi prezydent. Rząd uspokaja: nawet w przypadku weta, program wejdzie w życie

Karolina Wrońska

W sobotę w południe przed Pałacem Prezydenckim odbył się protest t przeciwników wdrożenia programu SAFE. Manifestacja została zorganizowana przez Kluby „Gazety Polskiej" oraz Ruch Obrony Granic. Protestujący apelowali do Karola Nawrockiego o zawetowanie ustawy wdrażającej unijny program. Obecni na manifestacji demonstrowali banery o hasłach m.in. „Nie dla SAFE. Tak dla Polski".

Odbywający się na Krakowskim Przedmieściu protest skomentował wicepremier, szef MON Radosław Sikorski. „Zamach smoleński, reaktywacja. Ciekawe, ilu tam agentów, a ilu frajerów" - napisał Sikorski na portalu X.

Ale program nie podoba się też partiom opozycyjnym. Według nich program SAFE może m.in. zostać w przyszłości wykorzystany jako element politycznego nacisku na Polskę. Przeciwko ustawie wdrażającej głosowali posłowie PiS i Konfederacji.

Prezes PiS Jarosław Kaczyński kilka dni temu powiedział, że prezydent powinien zawetować ustawę wdrażającą SAFE. Według polityka program ma „potężne aspekty polityczne", a jego celem jest zjednoczenie Europy „pod niemieckim przywództwem". Podczas sobotniej konwencji partii szef klubu PiS Mariusz Błaszczak powiedział, że „nie wolno pozwolić na to, żeby Polska weszła do programu SAFE" oraz że ten mechanizm będzie trzymać państwa „na łańcuchu".

– Blokowanie programu SAFE przez polityków PiS jest działaniem antypolskim - powiedział rzecznik rządu Adam Szłapka pytany o tezy Błaszczaka. Szłapka uważa, że miliardy euro z programu SAFE na rozwój polskiego potencjału zbrojeniowego, to gigantyczna szansa dla polskiego bezpieczeństwa i gospodarki. Jego zdaniem, słowa Błaszczaka to „oczywista bzdura i kłamstwo". - Pan Błaszczak celowo dezinformuje. Program SAFE cały czas pozwala Polsce kupować u naszych sojuszników - na przykład w Stanach Zjednoczonych - sprzęty, które trudno jest wyprodukować na przykład w państwach europejskich. Ale najważniejsze jest to, że ten program to są olbrzymie środki: 43,5 miliarda euro na rozwój polskiego potencjału zbrojeniowego, na rozwój polskiego przemysłu obronnego. To jest gigantyczna szansa dla naszego bezpieczeństwa, dla naszej gospodarki, dla naszego przemysłu obronnego - ocenił.

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Rząd zapewnia, że 80 proc. środków z programu SAFE będzie ulokowane w polskim przemyśle zbrojeniowym

Z kolei wicepremier i minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski uważa, że opozycja szuka dziury w całym. - Program SAFE narodowi się należy; Polska będzie jego największym beneficjentem; jestem zszokowany, że dzisiejsza opozycja szuka dziury w całym - powiedział minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski w wywiadzie dla „Newsweeka". Dodał, że Amerykanie popierają SAFE, więc domniemanie, iż weto „spodoba się amerykańskim sponsorom", ponieważ SAFE ma preferencję europejską, jest nieprawdziwe, bo Amerykanie też popierają SAFE.

Z kolei minister finansów Andrzej Domański przypomina, że program SAFE to do 60 mld zł oszczędności na modernizacji armii

- Program SAFE to obecnie najtańsze i najbardziej efektywne źródło finansowania modernizacji polskiej armii - mówił minister Domański w Rzeszowie. Według szefa resortu to rozwiązanie może przynieść polskim podatnikom od 36 do nawet 60 mld zł oszczędności w porównaniu do alternatywnych metod finansowania. Pytany o kwestię zaciągania zobowiązań w euro i związane z tym ryzyko kursowe, minister przypomniał, że poprzednie rządy również finansowały zakupy uzbrojenia (m.in. z USA czy Korei Południowej) w walutach obcych.

W ramach unijnego instrumentu polski rząd będzie mógł skorzystać z ok. 43,7 mld euro w postaci korzystnie oprocentowanych pożyczek i wydać je na inwestycje w obronność. Według deklaracji rządu, ponad 80 proc. pieniędzy ma zostać wydane w polskim przemyśle zbrojeniowym. PAP

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN

0011482364

Energia na kolejne lata: gaz z Norwegii, wiatr na Bałtyku i małe reaktory jądrowe

1013 zł rocznie na każdego mieszkańca kraju – taką skalę mają inwestycje zaplanowane przez ORLEN na najbliższą dekadę. Łącznie to 380 mld zł, czyli największy program rozwojowy w historii spółki i jedno z najbardziej ambitnych przedsięwzięć inwestycyjnych w Polsce.

Za ORLENEM pierwszy rok realizacji tej strategii i pierwsze miesiące realnych prac budowlanych.

– W minionym roku pozyskaliśmy nowe złoża gazu w Norwegii i Polsce, które przez 14 lat pokryłyby zapotrzebowanie Warszawy na gaz. Rozpoczęliśmy budowę pierwszej polskiej farmy wiatrowej na Bałtyku. Uruchomiliśmy 3 projekty budowy nowoczesnych elektrowni gazowych. Zmodernizowaliśmy sieci przesyłowe o długości, która pozwoliłaby na oplecenie dookoła granic Polski – podkreśla Ireneusz Fąfara, Prezes Zarządu ORLEN.

Słowa te dobrze oddają skalę zmian, jakie zachodzą w polskiej energetyce. Wyraźnie widać je dziś w obszarze gazu.

Gaz jako fundament bezpieczeństwa

Miniony rok był dla ORLENU rekordowy pod względem dostaw gazu. Dzięki maksymalnemu wykorzystaniu floty gazowców spółka zrealizowała 81 dostaw LNG, z czego 12 obsłużyły jednostki Grupy. Do Polski trafiło ponad 8 mld m³ skroplonego gazu.

Równolegle odkryto 2,4 mld m³ nowych zasobów surowca w kraju oraz zwiększono wydobycie na Norweskim Szelfie do 7,2 mld m³ – dzięki nowoczesnym technologiom i przejęciom aktywów. Łącznie oznacza to niemal **10 mld m³ nowych zasobów**, czyli ilość odpowiadającą kilkuletniemu zużyciu największych polskich miast. To element budowy stabilnego zaplecza dla transformującego się systemu energetycznego.

Gaz pełni w nim rolę paliwa przejściowego i stabilizującego. Dlatego równolegle rozwijane są nowe elektrownie gazowo-parowe (CCGT). Trwają przygotowania do uruchomienia elektrowni w Grudziądzu i Ostrołęce, równolegle kontynuowane są inwestycje w Gdańsku i Grudziądzu II. Bloki te mogą szybko reagować na zmiany zapotrzebowania i uzupełniać produkcję energii w okresach mniejszej generacji z wiatru i słońca.

Bałtyk wchodzi do gry

Drugim filarem inwestycji są odnawialne źródła energii. Pierwsza polska morska farma wiatrowa **Baltic Power** wkroczyła w kluczową fazę realizacji – zakończono instalację fundamentów i trwają przygotowania do testów. Po uruchomieniu farma zapewni energię dla 1,5 mln gospodarstw domowych.

Równolegle rozwijane są kolejne projekty Baltic East i Baltic West, które w kolejnych latach mają zwiększyć udział zeroemisyjnych źródeł w krajowym miksie energetycznym.

Skala inwestycji offshore oznacza również impuls dla krajowego przemysłu. W projektach gazowych, morskich, jądrowych i sieciowych uczestniczą firmy z całej Polski – od przedsiębiorstw inżynieryjnych po wyspecjalizowane podmioty technologiczne. To inwestycje, które przekładają się nie tylko na produkcję energii, ale także na rozwój kompetencji i nowe miejsca pracy.

Sieci – warunek powodzenia transformacji

Aby nowe źródła energii mogły zostać w pełni wykorzystane, konieczna jest modernizacja infrastruktury. Energa z Grupy ORLEN w ostatnim roku przyłączyła 62 tys. nowych odbiorców, podłączyła 1 GW nowych instalacji OZE i wydała decyzje przyłączeniowe dla kolejnych 2,5 GW mocy.

Część projektów realizowana jest przy wsparciu środków z Krajowego Planu Odbudowy. Rozbudowa i cyfryzacja sieci to dziś jeden z kluczowych warunków dalszej transformacji, które umożliwiają uruchomienie morskich farm wiatrowych, rozwój SMR i integrację nowoczesnych źródeł gazowych.

SMR – stabilność długiego horyzontu

Kolejnym etapem ma być energetyka jądrowa w formule małych reaktorów modułowych. ORLEN przygotowuje się do budowy pierwszego w Europie reaktora BWRX-300 we Włocławku.

SMR mają w przyszłości stabilizować system, ograniczać emisje CO_2 i dostarczać energię dla przemysłu wymagającego dużej mocy.

Skala prowadzonych inwestycji pokazuje, że transformacja energetyczna przestaje być wyłącznie planem zapisanym w strategii. Coraz wyraźniej przybiera formę konkretnych projektów infrastrukturalnych, które mają wpływać zarówno na bezpieczeństwo energetyczne kraju, jak i na tempo rozwoju gospodarki.

eprasa.pl 9ba1bacde5

FOT. SEAMAN ABIGAIL REYES/AFP/EAST NEWS

Lotniskowiec USS Gerald R. Ford wchodzi w skład amerykańskich sił szykujących się do ataku na Iran

KIEDY NASTĄPI ATAK USA NA IRAN? REGION JEST W STANIE GOTOWOŚCI

Cały świat z napięciem czeka na rozwój wydarzeń na Bliskim Wschodzie. Stany Zjednoczone skoncentrowały w regionie siły militarne niewidziane od inwazji na Irak w 2003 roku. Teraz celem ma być Iran. W tej chwili wszystko wskazuje na to, że zamiast pytania „czy uderzą", należy zadać sobie pytanie „kiedy uderzą?"

Grzegorz Kuczyński

Biorąc pod uwagę ruchy wojsk USA i sygnały płynące z Waszyngtonu, pierwszym możliwym terminem uderzenia na Iran był mijający właśnie weekend. Zwykle Amerykanie decydują się na takie operacje właśnie w weekend i to raczej jego początek. Dlaczego? Żeby giełdy zdążyły „przetrawić" taką informację zanim otworzą się w poniedziałek rano. Szczególnie dotyczy to wydarzeń mających wpływ na rynek ropy.

Do ataku w nocy z piątku na sobotę lub w nocy z soboty na niedzielę jednak nie doszło. Być może Pentagon uznał, że nie wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Być może Trump nie chciał rozpoczynać wojny gdy trwają jeszcze zimowe igrzyska olimpijskie.

Pojawiły się też doniesienia, że to Izrael miał prosić USA o przesunięcie daty - być może nie był jeszcze gotowy na odparcie zmasowanego odwetu rakietowo-dronowego Iranu i rozpoczęcie wojny na innym froncie: z regionalnymi sojusznikami Teheranu. Chodzi przede wszystkim o Hezbollah - w tym kontekście warto zwrócić uwagę na sobotnie ataki izraelskie na cele w Libanie, mające zapewne osłabić potencjał dowódczy szyickiej organizacji przed otwartym starciem.

Inny możliwy termin ataku

Tymczasem pojawiły się nieoficjalne doniesienia z USA, że amerykański atak jest prawdopodobny w poniedziałek lub wtorek. I to jest ten drugi możliwy termin rozpoczęcia operacji. Oczywiście giełdy są już otwarte, ale atak zaraz na początku tygodnia dałby sporo czasu - do piątku - na adaptację rynków do nowej sytuacji.

Być może Trump czeka też jeszcze na zapowiadaną nową ofertę Teheranu. Szef irańskiego MSZ Abbas Aragczi mówił o 2-3 dniach. Choć raczej wydaje się to tylko próbą zyskania czasu przez Iran.

Jeśli do uderzenia nie dojdzie w nocy na poniedziałek lub na wtorek, kolejne „okno możliwości" otworzy się dla Amerykanów i Izraela w przyszły weekend: noc z piątku na sobotę wydaje się najbardziej prawdopodobna (co pokazują doświadczenia z przeszłości) - choćby właśnie z racji na wspomniany „czynnik rynkowy".

Trump zaskoczy?

Pozostają oczywiście jeszcze trzy - dużo mniej prawdopodobne opcje: Trump zaskakuje i uderza w środku tygodnia , Trump nadal próbuje rozmów i odsuwa atak na początek marca, Trump w ogóle rezygnuje z ataku.

Szczególnie dwa ostatnie warianty są mało realne (zwłaszcza ostatni). Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie po to Amerykanie dokonali tak wielkiej koncentracji sił w regionie, by odejść z niczym. Po drugie, nic nie wskazuje na to, by Iran poszedł na ustępstwa, które Trump mógłby uznać za na tyle znaczące, że usprawiedliwiające odwrót tak potężnych sił.

Okno możliwości szeroko otwarte

Generalnie, lepszej okazji do uderzenia na Iran mającego szanse jeśli nie obalić, to poważnie i trwale osłabić reżim ajatollahów, USA mogą już nie mieć (Izrael też to wie i będzie naciskał na wojnę). Irański potencjał obronny (zwłaszcza obrona powietrzna) został mocno osłabiony podczas „wojny 12-dniowej" w czerwcu ub.r.. Ponadto podczas tamtych ataków nie zniszczono, a tylko osłabiono irański program atomowy. Dodatkowo po fali protestów i w obliczu kryzysu gospodarczego reżim jeszcze nigdy nie był tak słaby wewnętrznie. Teheran jest osamotniony: tzw. oś oporu została zdziesiątkowana przez Izrael i Zachód w ciągu ostatnich przeszło dwóch lat (zwłaszcza Hamas i Hezbollah, ale też Huti dostali mocne cięgi), zaś Rosja czy Chiny mogą pomóc Iranowi co najwyżej wywiadowczo i dyplomatycznie.

Ali Chamenei obawia się zamachu

Najwyższy przywódca duchowo-polityczny Iranu Ali Chamenei obawiając się zamachu w trakcie ogólnokrajowych protestów przekazał kontrolę nad kluczowymi sprawami szefowi służb bezpieczeństwa i byłemu dowódcy Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej Alemu Laridżaniemu - poinformował „New York Times". Dziennik opiera swoje informacje na wywiadach z sześcioma wysokimi rangą irańskimi urzędnikami.

„NYT" twierdzi, że zakres obowiązków Laridżaniego w ostatnich miesiącach systematycznie się powiększał. 67-letni były wojskowy formalnie zajmuje stanowisko sekretarza Najwyższej Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Laridżani był również odpowiedzialny za tłumienie fali protestów, jaka przetoczyła się przez Iran w pierwszej połowie stycznia i publicznie wezwał służby bezpieczeństwa do użycia siły podczas tłumienia pokojowych demonstracji.

Obecnie Laridżani utrzymuje kontakty z potężnymi sojusznikami, takimi jak Rosja, oraz regionalnymi graczami, takimi jak Katar i Oman. Nadzoruje również negocjacje nuklearne z Waszyngtonem i opracowuje plany zarządzania Iranem w przypadku potencjalnej wojny ze Stanami Zjednoczonymi - podkreślił „NYT".

W wywiadzie dla katarskiej stacji Al-Dżazira Laridżani zapewnił, że Iran jest obecnie silniejszy niż wcześniej i gotowy do ewentualnego konfliktu z USA. - Przygotowywaliśmy się przez ostatnie siedem, osiem miesięcy. Znaleźliśmy nasze najsłabsze punkty i je wyeliminowaliśmy. Nie szukamy wojny i jej nie rozpoczniemy. Ale jeśli nas do niej zmuszą, odpowiemy - powiedział.

Vali Nasr, ekspert ds. Iranu z wydziału Studiów Międzynarodowych amerykańskiego uniwersytetu Johna Hopkinsa ocenił w rozmowie z „NYT", że Chamenei spodziewa się, że zostanie męczennikiem. - Dzieli władzę i przygotowuje państwo na kolejną wielką zmianę, zarówno sukcesję, jak i wojnę, świadomy, że sukcesja może nastąpić w wyniku wojny - skomentował.

Zdaniem rozmówców gazety Teheran działa w oparciu o założenie, że amerykańskie ataki wojskowe są nieuniknione mimo kontynuacji rozmów z USA, a Iran postawił wszystkie swoje siły zbrojne w stan najwyższej gotowości i przygotowuje się do zaciekłego oporu. Rozmieszcza wyrzutnie rakiet balistycznych wzdłuż granicy z Irakiem, tak, by móc zaatakować Izrael oraz wzdłuż południowych wybrzeży Zatoki Perskiej, co oznacza, że w jego zasięgu znajdą się amerykańskie bazy wojskowe w regionie.

W Iranie znów protestują

Studenci kilku irańskich uniwersytetów zorganizowali protesty antyrządowe. To pierwsze demonstracje na taką skalę od czasu masowych manifestacji w styczniu, które zostały brutalnie stłumione przez władze. Studenci oddawali hołd tysiącom ofiar masowych protestów w styczniu.

Nagrania pokazują setki protestujących - wielu z nich ma na sobie irańskie flagi - pokojowo maszerujących w sobotę po kampusie. Tłumy skandowały „śmierć dyktatorowi" - nawiązując do najwyższego duchowo-politycznego przywódcy Alego Chameneiego.

Potem studenci starli się z funkcjonariuszami Basij, ochotniczej formacji paramilitarnej, która odegrała znaczącą rolę w stłumieniu poprzednich protestów politycznych.

BBC zweryfikowało także nagranie z Uniwersytetu Technologicznego im. Amira Kabira, na którym widać tłum skandujący antyrządowe hasła. W położonym na północnym wschodzie Meszhedzie, drugim co do wielkości mieście Iranu, miejscowi studenci skandowali: „Wolność" i „Studenci, krzyczcie, krzyczcie o swoje prawa".

Demonstracje zbiegły się w czasie z setkami uroczystości, które odbyły się w tym tygodniu w całym kraju, upamiętniających 40 dzień po śmierci ofiar poważnych starć z siłami bezpieczeństwa w styczniu. Były to największe manifestacje od rewolucji islamskiej z 1979 roku.

Według organizacji praw człowieka zginęło co najmniej 7000 osób, choć uważa się, że liczba ofiar śmiertelnych jest wyższa.

eprasa.pl 9ba1bacde5

AUTOREKLAMA

0011481176

Energia z Polski – Local First. Nowa jakość i praktyczna wiedza dla dostawców energetyki

Już 2 marca w Teatrze Polskim w Szczecinie odbędzie się II edycja Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski – Local First". Pierwsza edycja wydarzenia zakończyła się podpisaniem przez Ministra Aktywów Państwowych oraz przedstawicieli największych spółek Skarbu Państwa kluczowej deklaracji dotyczącej tzw. local content. Kolejnym krokiem było powołanie przy MAP zespołu ds. udziału komponentu krajowego w procesach inwestycyjnych.

FOT. ADAM JANKOWSKI

I edycja Forum „Energia z Polski". Podpisanie deklaracji o udziale polskich firm w budowie morskich farm wiatrowych.

II edycja Forum organizowana jest przez Polska Press Grupę przy współudziale Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego oraz we współpracy z województwami wielkopolskim i lubuskim. Patronat honorowy nad wydarzeniem objęło Ministerstwo Aktywów Państwowych z Wojciechem Balczunem na czele, a wśród partnerów biznesowych znalazły się największe polskie firmy energetyczne.

Wydarzenie odbywa się pod hasłem „Wind Factory of Europe" i jest adresowane szczególnie do sektora małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP). Dzięki swojej elastyczności i innowacyjności to właśnie one mogą stać się strategicznymi partnerami dla globalnych inwestorów.

W agendzie wydarzenia zaplanowano panele tematyczne, warsztaty oraz sesje networkingowe. Eksperci i praktycy poruszą m.in. kwestie:

- znaczenia polityki local content dla rozwoju polskich firm,
- roli samorządów jako filaru strategii Local First,
- finansowania i zabezpieczania wielkoskalowych projektów energetycznych,
- potencjału inwestycji onshore i offshore dla rodzimego biznesu.

Uczestnicy otrzymają praktyczną wiedzę na temat wymagań technicznych, norm oraz procedur zakupowych. Forum to także unikalna okazja do zdobycia wskazówek dotyczących przygotowania ofert i skutecznego konkurowania o kontrakty w dużych projektach energetycznych.

Wzmocnienie roli lokalnych dostawców to nie tylko szansa na dywersyfikację biznesu, ale przede wszystkim budowa niezależności przemysłowej Polski. Eksperci podkreślają, że aktywny udział rodzimych producentów w łańcuchu dostaw przekłada się na stworzenie odpornej infrastruktury energetycznej.

II edycja Forum „Energia z Polski – Local First" potwierdza status wydarzenia jako najważniejszej platformy dialogu między administracją państwową, sektorem prywatnym a rynkiem MŚP. Poprzez wymianę wiedzy i bezpośrednie kontakty z kluczowymi graczami,

Forum realnie wspiera transformację polskiego sektora energetycznego.

Więcej informacji, pełna agenda oraz rejestracja:
www.energiazpolski.pl

Organizator

POLSKA PRESS GRUPA

Współorganizator

Pomorze Zachodnie

Patronat Honorowy

Ministerstwo Aktywów Państwowych

Partner Strategiczny

ORLEN

Partnerzy Główni

PGE Baltica
arp
Enea
Bank Polski
PZU

Partnerzy

ORLEN NEPTUN
TAURON
BGK
KUKE Grupa PFR

Partner Merytoryczny

POLSKIE STOWARZYSZENIE ENERGETYKI WIATROWEJ

Patroni Medialni

strefa BIZNESU.pl
GS 24.pl
naszemiasto.
RADIO SZCZECIN
pap
TVP 3 SZCZECIN
TVP info

eprasa.pl 9ba1bacde5

WOJCIECH KONOŃCZUK: ROSJA JEST SŁABSZA, NIŻ SIĘ WIELU WYDAWAŁO. NAJLEPIEJ WIDAĆ TO NA UKRAINIE

– Rosja nie radzi sobie militarnie, więc skupia się na froncie dyplomatycznym. Ma nadzieję, że uda im się skłonić prezydenta Trumpa do tego, żeby jeszcze mocniej wykręcił ręce Ukraińcom i wymusił na nich te ustępstwa, na które dzisiaj nie chcą pójść. Putin cały czas chce przejąć kontrolę nad całą Ukrainą – mówi Wojciech Konończuk, dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich

Agaton Koziński

Wojna ukraińsko-rosyjska stała się nudna. Dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich podpisze się pod takim zdaniem?
Nie. Ta wojna zupełnie nie jest nudna. Na pewno w ten sposób nie powiedzą o niej Ukraińcy, to oczywiste. Ale też ten temat nie znikł zupełnie z pierwszych stron gazet światowych.

Z pierwszych stron gazet nie znikł, aczkolwiek mam wrażenie, że czytelnicy te strony odruchowo przerzucają dalej.
Ten konflikt cały czas kształtuje nasze myślenie o bezpieczeństwie. Nie tylko w Polsce. Proszę zobaczyć, co się dzieje na przykład w Niemczech, jak mocno ten kraj zaczął inwestować w bezpieczeństwo. Widać wyraźnie, że wojna rosyjsko-ukraińska – obok polityki administracji Donalda Trumpa – stała się jednym z dwóch czynników, które kształtują strategiczne myślenie Europy.

Z drugiej strony, gdyby porównać trzecią i czwartą rocznicę, to różnice między nimi są minimalne. Gdyby nie pojawienie się Donalda Trumpa na globalnej scenie, wyglądałyby one identycznie.
Do pewnego stopnia tak. Przy każdej rocznicy wojny wielu obserwatorów miało obawy, jak długo Ukraińcy jeszcze wytrzymają. W ciągu ostatniego roku sytuacja na froncie się zasadniczo nie zmieniła. Ale między ubiegłoroczną rocznicą i obecną widać też jedną znaczącą różnicę. Doszło do sparaliżowania dużej części ukraińskiego sektora energetycznego. Rosjanie nieustannie go atakują. Uznali, że skoro nie mają wielkich sukcesów na froncie, to spróbują obniżyć ducha obrony poprzez uderzenia w elektrociepłownie, elektrownie i sieci energetyczne.

Szacuje się, że tej zimy Ukraina straciła około połowy swoich mocy grzewczych. A zima w tym roku wyjątkowo daje się we znaki. Jak to wpłynęło na postawę Ukraińców?
Dzisiaj kluczową ich emocją jest złość na Rosję. Fakt, że miliony domów nie mają ogrzewania nie sprawia, że nagle duża część ukraińskiego społeczeństwa uznała, że warto pójść na ustępstwa wobec Kremla. Oni wiedzą, że nie ma dzisiaj możliwości znalezienia porozumienia z Rosją putinowską.

Patrząc na sondaże, Ukraińcy wydają się rozdarci między dwoma sprzecznymi emocjami. Z jednej strony nie zgadzają się, aby oddać Rosji choć piędź ukraińskiej ziemi, ale z drugiej chcielibyśmy doprowadzić do przerwania obecnych walk.
Jednak tę piędź ziemi Ukraińcy są już gotowi oddać – to zasadnicza zmiana, jaka zaszła w ostatnim roku. Pewnie nie zgodzą się, żeby takie zmiany zostały uznane de iure, ale byliby skłonni zaakceptować stan faktyczny. Oznacza to wymuszoną, ale jednak akceptację, by Rosja została na ziemiach, które obecnie okupuje. Ukraińcy wiedzą, że i tak nie są w stanie ich odzyskać w przewidywalnej przyszłości. Gdyby więc pojawiła się alternatywa: ziemia okupowana obecnie przez Rosję za pokój, zapewne wyraziliby na to zgodę. Ale też oni wiedzą, że Putinowi nie chodzi o ziemię, czy o kontrolę nad Donbasem. On chce przejąć kontrolę nad całą Ukrainą.

Jak długo Rosjanie są w stanie prowadzić obecną wojnę pozycyjną?
To jest pytanie, na które nie ma jasnej odpowiedzi. Na pewno potencjał Rosji do prowadzenia tej wojny jest większy niż Ukrainy. Pod każdym względem: gospodarczym, demograficznym, wojskowym. Ale mimo to po czterech latach pełnoskalowego konfliktu główna linia frontu przebiega w Donbasie, a nie choćby na Dnieprze czy tym bardziej Zbruczu. „Potężna" armia rosyjska przez cztery lata wojny nie była w stanie nawet zdobyć całego Donbasu. Gdyby w 2022 r. ktoś postawił tezę, że do 2026 r. Rosjanie nie zdołają nawet dojść Słowiańska czy Kramatorska, zostałby uznany za kogoś mało poważnego.

Słowiańsk i Kramatorsk zostały przez Rosjan zdobyte w 2014 r. – tylko później Ukraińcy odzyskali te miasta.
Obecnie Rosjanie znów pod te miasta podchodzą, ale cały czas są one pod kontrolą ukraińską.

Mentalnie Rosjanie traktują je jako swoje. W tej swojej nacjonalistycznej megalomanii, oni są właściwie już gospodarzami Kijowa – choć pod względem wojskowym nie są w stanie wyjść z Donbasu. Jak Kreml radzi sobie z tym brakiem sukcesów?
Skupia się na froncie dyplomatycznym. Rosjanie mają nadzieję, że uda im się skłonić prezydenta Trumpa do tego, żeby jeszcze mocniej wykręcił ręce Ukraińcom i wymusił na nich te ustępstwa, na które dzisiaj nie chcą pójść. Chodzi im głównie o to, żeby Ukraińcy wycofali całkowicie z Donbasu. Liczą, że za pomocą dyplomacji uda im się osiągnąć to, czego nie są w stanie zdobyć za pomocą środków militarnych.

Faktem jest, że Zachód nie jest w stanie znaleźć żadnego lewara, za pomocą którego byłby w stanie zmusić Rosję do ustępstw.
To nie znaczy, że nie takiego lewara nie ma. Natomiast brakuje woli politycznej, żeby ten lewar wykorzystać.

Co nim może być?
To kwestia dostarczenia takich systemów rakietowych dalekiego zasięgu, które pozwoliłyby Ukraińcom razić cele w głębi Rosji.

Mówimy o Taurusach, Tomahawkach.
Taurusy są dobrym przykładem. W Niemczech trwa niekończąca się dyskusja o przekazaniu ich stronie ukraińskiej. Gdy kanclerzem był Olaf Scholz, Friedrich Merz głośno mówił, że on jako szef rządu by się na to zdecydował. Ale gdy sam został kanclerzem, to nic takiego się nie wydarzyło. A Kijów nie dostał narzędzi, za pomocą których mógłby podnieść Rosji cenę prowadzenia konfliktu, pokazać społeczeństwu rosyjskiemu, że ma ona swoje konsekwencje również dla niego. Możliwości jest więcej, bo Zachód cały czas nie wykorzystał całego asortymentu sankcyjnego, jakim dysponuje. Unia Europejska dopiero uczy się wprowadzać sankcje wtórne. Stany Zjednoczone są pod tym względem znacznie bardziej zaawansowane. Niedawno zapadła decyzja o wyłączeniu Starlinków dla rosyjskiej armii, która operuje na ziemiach Ukrainy. Dobra decyzja – ale dlaczego tak późno?

Jak rozumiem amerykańską politykę wobec Rosji? Trump wiesza w Białym Domu zdjęcie Putina, ale jednocześnie ostro dociska jego sojuszników. Wenezuela już odpadła, za chwilę ten los podzieli Kuba, pewnie Iran. Czy taka strategia okrajania „ruskiego miru" może okazać się skutecznym lewarem?
Akurat Kuba ma znaczenie trzeciorzędne i głównie symboliczne. Dużo ważniejszy dla Kremla jest Iran. Jeśli dojdzie do kolejnych działań operacji militarnej Stanów Zjednoczonych i Izraela wobec Iranu, to pytanie czy runie reżim ajatollahów, czy nie.

Pytanie też, czy Rosja jest w ogóle w stanie pomóc ajatollahom. Obronić Maduro w Wenezueli nie była w stanie.
Nie jest, gdyż nie ma do tego odpowiedniego potencjału politycznego i wojskowego. Więcej, podejrzewam, że byłaby nawet skłonna przehandlować swoje poparcie dla Teheranu w zamian za ustępstwa amerykańskie w kwestii Ukrainy. Dla reżimu putinowskiego jest kwestią wręcz egzystencjalną wygranie wojny na Ukrainę. To z tego powodu Rosja chce utrzymać dobre kontakty z Trumpem, cały czas w niego inwestuje. Liczy na to, że pomoże im zmęczyć Zełenskiego. Oddzielna sprawa, że Ukraińcy też efektywnie angażują Trumpa, pokazując mu, że USA mają też interes biznesowy na Ukrainie. Proszę zwrócić uwagę, że na początku stycznia podpisał umowę na eksploatację złóż litu w centrum kraju z amerykańską firmą, której współwłaściciel jest zbliżony do Trumpa.

Rozmawiałem niedawno z gen. Leonem Komornickim. On postawił tezę, że podczas spotkania na Alasce Trump i Putin dokonali nowego podziału świata – a to, co teraz obserwujemy, to tylko gra pozorów. Realne w Pana ocenie?
Nie zgadzam się z tą tezą. Owszem, Rosjanie sugerują, że Anchorage doszło do jakiegoś porozumienia, ale nic więcej. Jak nie ma papieru, nie ma porozumienia – a obaj przywódcy niczego nie podpisali. Nie wykluczam, że Trump mógł chłapnąć coś w rozmowach bezpośrednich z Putinem – ale niczego nie podpisał.

Mówi Pan, że Trump jest jak rabin ze starego dowcipu, który przyznaje rację wszystkim zwaśnionym stronom?
To nie jest wykluczone. Rosjanie regularnie powtarzają, że na Alasce doszło do porozumienia. Ale tak nie było, skoro nie ma żadnego dokumentu to potwierdzającego. To jasne dla każdego. Tym bardziej że musimy pamiętać, o co chodzi Rosji. Ona nie chce Donbasu, ona chce, żeby cała Ukraina została uznana jako strefa wyłącznych wpływów Rosji. Ale na to zgody administracji Trumpa nie będzie.

Wspomniał Pan przed chwilą, że Putin byłby gotowy przehandlować Iran za Ukrainę. A za co Trump jest gotowy przehandlować ten kraj?
Moim zdaniem on nie jest gotowy przehandlować Ukrainy. Gdyby tego chciał, doszłoby do tego w ciągu ostatniego roku. Tymczasem nic takiego się nie wydarzyło.

Może jeszcze nie dostał wystarczająco atrakcyjnej oferty?
Nie o to chodzi. Zdaje sobie sprawę, jakie koszty pociągnęłaby taka „sprzedaż" Ukrainy.

Rosjanie w zamian mogliby mu pomóc układać rzeczywistość w amerykańskim otoczeniu.
Tylko że Trump nie potrzebuje do tego wsparcia rosyjskiego. Wpływy rosyjskie w Ameryce Łacińskiej spadają i będą spadały, najbardziej dobitnie wi-

eprasa.pl 9ba1bacde5

FOT. PAP/ALENA SOLOMONOVA

Odessa po rosyjskim ataku z użyciem irańskich dronów Shahed w lutym 2026 r. 24.02 przypada czwarta rocznica wojny

dzieliśmy to niedawno w Wenezueli. Sytuacja zresztą idzie dalej, gdyż wpływy rosyjskie są coraz mniejsze także na Kaukazie Południowym i Azji Centralnej. Proszę zwrócić uwagę na niedawną wizytę J.D. Vance'a w Armenii i Azerbejdżanie. Rosjanie ten region uznają za swoją strefę wpływów, tymczasem wiceprezydent Stanów Zjednoczonych niedawno odwiedził oba kraje, oferując im miliardowe kontrakty inwestycyjne, a wcześniej Trump stał się akuszerem porozumienia między nimi. Czy można to uznać za dowód na to, że USA uznają region Kaukazu za rosyjską strefę wpływów?

Teraz Pan mówi, że car jest nagi i potrafi jedynie budować aurę terroru wokół siebie?
W dużym stopniu tak. Rosja jest słabsza niż się wielu wydawało. Najlepiej widać to na Ukrainie. Przecież ta wojna została zaplanowana przez Rosję na kilka tygodni, a trwa już cztery lata i będzie trwała dłużej. Kreml nie jest w stanie odnieść sukcesu militarnego i próbuje to zrobić na froncie polityczno-dyplomatycznym.

Bo cały czas ma głowice nuklearne.
Szantaż nuklearny to stały element w asortymencie rosyjskiej dyplomacji. I trzeba pamiętać, że z punktu widzenia reżimu Putina ta wojna ma dla nich także charakter być albo nie być. Kreml nie może sobie pozwolić na porażkę. Zresztą dzisiaj jest wciąż daleko od przegrania tej wojny.

Na razie konflikt ukraińsko-rosyjski wygląda jak typowa „niekończąca się wojna". Tego typu wojna w Afganistanie doprowadziła do rozpadu Związku Radzieckiego.
ZSRR rozpadł się także z powodu problemów gospodarczych wywołanych sankcjami. Dziś widać niektóre podobieństwa do tamtej sytuacji. W Rosji piętrzą się kolejne problemy, choć są one maskowane przez Kreml. Część z nich jest rozwiązywana przy pomocy Chin – bez wsparcia Pekinu Moskwa byłaby w dużo gorszej sytuacji, o tym też trzeba pamiętać.

Jak długo Rosja jeszcze może prowadzić tę wojnę?
Nikt tego nie wiem, ale pewnie jeszcze przez kilka kolejnych lat. Owszem, Rosja płaci za nią ogromną cenę, te koszty w dużej mierze poniosą przyszłe pokolenia Rosjan. Ale póki co ten kraj ma na tyle spory potencjał, aby jeszcze długo ją prowadzić.

Rosjanie to wytrzymają?
Reżim ma znacznie skuteczniejsze instrumenty wpływu na umysły rosyjskie, niż to miało miejsce w okresie Związku Sowieckiego. Propaganda Kremla działa. Z drugiej strony też próg odporności społeczeństwa rosyjskiego czy próg bólu jest zupełnie inaczej ustawiony niż w społeczeństwach niemieckim, francuskim czy pewnie też polskim. Podobnie jest jednak na Ukrainie. Mało które społeczeństwo wytrzymałoby to, że w milionach domów jest dzisiaj zimno i racjonowana jest energia elektryczna.

A odwracając perspektywę. Jak ta wojna zmieniła Europę zachodnią?
Bardzo. Proszę choćby wziąć pod uwagę narrację niemiecką czy francuską. Dziś jest ona bardzo bliska temu, co my mówimy, dotyczy to szczególnie Niemiec. Kanclerz Merz mówi o Rosji podobnym językiem co premier Tusk czy inni polscy politycy. To najlepiej pokazuje, do jak dużej zmiany doszło. Wydatki na obronność rzędu 5 proc. PKB dziś nikogo już nie dziwią – a przecież jeszcze w 2022 r. wydawało się to nieprawdopodobne. Berlin rozpoczął bezprecedensowy od zakończenia II wojny światowej program zbrojeniowy – co swoją drogą generuje pewne wyzwania również dla Europy. Jak to połączymy z kwestiami powolnego wycofywania się Amerykanów z obecności wojskowej w Europie otwiera się kwestia niemiecka. Biorąc pod uwagę wzrost wpływów AFD, powinniśmy szczegółowo analizować rozwój sytuacji u naszego zachodniego sąsiada.

Słuchałem wystąpienia Merza na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa – i trudno było mi uwolnić się od skojarzeń z podobnymi wystąpieniami Emmanuela Macrona z 2017 r.
Jednak tych dwóch polityków nie można porównywać. Inne okoliczności, inna sytuacji, inny kaliber. 9 lat temu nie mieliśmy wojny na Ukrainie, mieliśmy inną administrację w Waszyngtonie i mieliśmy inne Chiny.

Widzę podobieństwo w dwóch miejscach – obaj dużo mówią o autonomii strategicznej Europy i obaj mówią głównie w czasie przyszłym, zapowiadają, co chcą zrobić.
Tyle że w przypadku Merza to już coś więcej niż tylko słowa. Przecież Niemcy także stworzyli potężny program zbrojeniowy. To jest realny czynnik, który trzeba dbać się pod uwagę.

Merz w Monachium bardzo mocno mówił o Chinach, wskazywał je jako źródło zagrożenia. Jednocześnie dane za 2025 rok – pierwszy rok rządów Merza – wskazały, że niemieckie inwestycje w Chinach wyniosły ponad 7 mld euro i było o połowę wyższe niż rok wcześniej. Dlaczego więc traktować zapowiedzi kanclerza jako coś więcej niż tylko słowa?
W Niemczech bardzo zmienił się stosunek do Rosji. Jak popatrzymy na język mainstreamu niemieckiego – AFD czy Die Linke tu nie włączam – on się zmienił w stronę korzystną dla nas. Proszę też zauważyć, że USA traktują Niemcy jako swoją ważną podporę w Europie. Te wielkie inwestycje w zbrojenia planowane przez Berlin robią wrażenie na Waszyngtonie.

Merz rozważa kupno F-35 od Amerykanów.
Niemcy są filarem amerykańskiej polityki w Europie od dziesiątków lat. To się nie zmieni. Administracja Trumpa na początku miała pewne problemy z Berlinem, ale teraz coraz lepiej znajdują wspólny język. Niemcy grają z amerykańskim prezydentem bardzo umiejętnie. Niedługo Merz już po raz trzeci odwiedzi Biały Dom. Mało który światowy lider składa tam tak często wizyty, jedynie Benjamin Netanjahu może się równać.

O czym rozmawiają?
O wszystkim, co dla obu stron kluczowe. O relacjach transatlantyckich, o Rosji, ale też o Chinach. Waszyngtonowi pewnie zależy przede wszystkim na tym, by rozluźnić relacje niemiecko-chińskie, ale też wielu niemieckich inwestorów w Pekinie ugrzęzło, a Berlin nie za bardzo wie, co z tym zrobić. Choć może to się okazać problemem jeszcze większym niż wcześniejsze uzależnienie energetyczne Niemiec od Rosji.

Kolejna rocznica wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej przypadnie na starcie kampanii parlamentarnej w Polsce. Jak ta kwestia będzie w niej rezonować?
Przede wszystkim zależeć to będzie od tego, jak za rok będzie się kształtować linia frontu. Jeśli przez ten czas nie ulegnie on większej zmianie – a póki co na to się nie zanosi – to nie sądzę, żeby kwestia wojny była głównym tematem kampanii w Polsce. Byłoby inaczej, gdyby doszło do jakiejś radykalnej zmiany na froncie. Proszę zwrócić uwagę na reakcję Polaków na doniesienia o tym, że Ukraińcy nie mają ogrzewania. Nie była to co prawda taka fala pomocy jak w 2022 r., ale jednak mnóstwo Polaków zdecydowało się udzielić wsparcia, zrzutki na generatory prądu mnożyły się w całym kraju.

Polacy zebrali w styczniu ponad 11 mln zł na ich zakup.
Do tego dochodzi pomoc rządowa, samorządowa, kościelna itd. Widać wysoki poziom empatii – ale też świadomość, że jeśli ta wojna źle się skończy dla Ukrainy, to będzie to miało fatalne konsekwencje także dla nas.

REKLAMA 0011461412

eprasa.pl 9ba1bacde5

Przełom lutego i marca 2022 roku. Cały świat jest przerażony rosyjską agresją na Ukrainę, ale też z podziwem patrzy na Polskę, zwłaszcza na Podkarpacie. Takiej spontanicznej akcji pomocy Polaków dla uchodźców wojennych z Ukrainy chyba nikt się nie spodziewał, zwłaszcza w odniesieniu do Przemyśla. Co nam zostało z tych kilkunastu pierwszych tygodni wojny w Ukrainie?

Norbert Ziętal

NIECH TA WOJNA WRESZCIE SIĘ SKOŃCZY

FOT. ARCHIWUM

Wiktor Halczyński: Prawie wszyscy rozumieją, że Rosja nie chce pokoju i ma cel zniszczyć Ukraińców jako narodowość, co potwierdzają terrorystyczne ataki na obiekty cywilne i na zwykłych ludzi. Z tego względu ludzie są świadomi, że wojna może trwać jeszcze długo

Na początku, w 2022 roku, wszystko było nagłe i przerażające. Wojna wybuchła z dnia na dzień, ludzie byli przestraszeni, uciekali z domów, panował chaos. Jednocześnie widziałam ogromną determinację. Wszyscy chcieli bronić swojego kraju. Teraz, w 2026 roku, nastroje są trochę inne. Ludzie przyzwyczaili się do tej nowej rzeczywistości, uczą się funkcjonować mimo zagrożeń, choć strach i czujność wciąż są obecne – mówi Anna Maria Jaremenko, Polka mieszkająca koło Przemyśla, dyrektor Międzynarodowej Fundacji Wolność i Przyjaźń. Od kilku lat regularnie jeździ z pomocą do Ukrainy.

Przeżyła wiele, w tym atak powietrzny Rosjan na Kijów, podczas którego rakieta wybuchła około 100-200 metrów od hotelu, w którym spała. „Przezornie przed wybuchem zeszłam do schronu" – rok temu komentowała Jaremenko „Nowinom".

– Od 24 lutego 2022 roku Lwów i Ukraina bardzo się zmieniły. W pierwsze dni pełnoskalowej wojny Ukraińcy zostali zjednoczeni wokół własnego wojska, co dało możliwość faktycznie zwyciężać w pierwszym etapie wojny, kiedy ruska armia wyszła spod Kijowa, a później armii ukraińskiej udało się uwolnić Chersoń i część obwodów chersońskiego i charkowskiego. Dalej, z ostrzałami energetyki i długą wojną na wyczerpanie, Ukraińcy nauczyli się robić rzeczy niemożliwe. Wynaleźć nowe technologie dronowe dla wojska i przeciwdziałać rosyjskim atakom z powietrza, szybko odnawiać sieci energetyczne po dewastacyjnych rosyjskich atakach, prowadzić i rozwijać działalność gospodarczą w pełnej skali podczas wojny – mówi Wiktor Halczyński ze Lwowa, zawodowo związany z mediami i public relations, najpierw przez kilkanaście lat w sektorze bankowym, obecnie w przemyśle.

Od wielu lat aktywnie działa na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego, m.in. w zakresie reaktywacji przebiegającej przez oba kraje linii kolejowej 102 i skupionych wokół niej różnych inicjatyw.

Przemyśl na ustach całego świata

Przemyśl przełomu lutego i marca, a nawet kwietnia 2022 roku wyglądał zupełnie inaczej niż przed tym okresem i obecnie. Dużo obcych rejestracji na samochodach – miasto przeżywało najazd osób z różnych stron, którzy indywidualnie przewozili uchodźców spod granicy w głąb Polski. Sporo policji, najrozmaitszych służb. Zmiana była zauważalna już kilka tygodni przed wybuchem wojny. Sensację wzbudzały amerykańskie pojazdy pancerne krążące po mieście i okolicach. Nad głowami latały amerykańskie śmigłowce. Dość szybko pojawiły się apele, aby na własną rękę nie udostępniać zdjęć tego sprzętu wojskowego w internecie. Tyle oficjalnie. Bo nieoficjalnie wiadomo, że chodziło też o pokazanie, że Amerykanie już tu są, „możecie czuć się bezpieczni".

W miasto zaraz po wybuchu wojny uderzyły dwie fale wyraźnie sterowanej dezinformacji. Pierwsza mówiła o rzekomym zaprzestaniu dostaw paliw. Sprawa początkowo wiązała się z dużo większym ruchem w Przemyślu i okolicach samochodów z głębi Polski i Europy niż zwykle, które musiały gdzieś tankować. Przed stacjami paliwowymi pojawiały się kolejki. Te informacje ktoś celowo powielał, a potem już same zaczęły się rozchodzić. Mało kto chciał wierzyć, że kłopoty z paliwem są przejściowe i wiązały się z ogromnym popytem, który wykraczał poza harmonogram standardowych dostaw.

Chwilę później wybuchła „afera" z Ukraińcami, którzy rzekomo masowo wybierają z bankomatów każdą dostępną gotówkę. Szybko okazało się, że sprawa też była tylko chwilowa, a wcześniejszy system planowanych dostaw gotówki do bankomatów okazał się niewystarczający wobec wyraźnie zwiększonego popytu na nią. Po krótkim czasie sprawa została uregulowana i ucichła.

Ustały loty cywilnych samolotów do Ukrainy. Stacja kolejowa w Przemyślu to od czterech lat miejsce przesiadek najważniejszych oficjeli z całego świata. Dolatują do lotniska w Rzeszowie- -Jasionce, samochodami jadą do Przemyśla, a stąd pociągiem do Ukrainy. To najbezpieczniejszy wariant podróży. Na początku hałaśliwe konwoje, eskortowane przez policję i żandarmerię na sygnałach, budziły sensację. Przejazd prezydenta USA Joe Bidena filmowało smartfonami sporo osób. Dzisiaj takie kawalkady głośnych aut nikogo już w Przemyślu nie interesują.

Nikt nie ma wątpliwości, że przygraniczny Przemyśl był i nadal jest infiltrowany przez służby specjalne. I te ze wschodu, i te z zachodu. To właśnie w tym mieście Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego w lutym 2022 roku zatrzymała najsłynniejszego szpiega tej wojny – Pawła Rubcowa vel Pablo Gonzalesa. Nie doczekał procesu sądowego, gdyż w sierpniu 2024 roku był jednym z uczestników zachodnio-rosyjskiej wymiany osób zatrzymanych, w tym szpiegów w Europie Zachodniej i USA z jednej strony oraz Rosji z drugiej. Na lotnisku w Rosji Robcow vel Gonzales był witany serdecznym uściskiem dłoni przez samego Władymira Putina.

Najtrudniejsze były naloty i ostrzały artyleryjskie

– W 2022 roku najważniejsze było ratowanie życia. A więc pomoc z postaci żywności, wody, leków, sprzętu medycznego, wsparcie uchodźców w dotarciu do bezpiecznych miejsc. Teraz potrzeby są bardziej długofalowe: odbudowa domów, wsparcie psychologiczne, rehabilitacja rannych, edukacja dzieci i wsparcie ekonomiczne dla lokalnych społeczności. Moja pomoc jest bardziej planowa. Współpracuję z organizacjami humanitarnymi, wspieram odbudowę i szkolenia medyczne, organizuję transport długoterminowy. Pomoc stała się bardziej strategiczna niż reagowanie w sytuacjach kryzysowych – mówi pani Anna.

Od kilku lat dużo ryzykuje, szczególnie że jest matką, ale wierzy w idee. Przeżyła wiele niebezpiecznych sytuacji. Działała głównie na zachodzie Ukrainy: Lwów, Iwano-Frankiwsk, ale również w centralnej części kraju, w Kijowie, Czernihowie, oraz na wschodzie przy froncie: Donbas, Charków.

– Najtrudniejsze były naloty i ostrzały artyleryjskie. Bywało, że musieliśmy w ostatniej chwili ewakuować konwój lub schować się w schronie, gdy spadały rakiety. Te chwile pozostają w pamięci. Czuło się wtedy, że każda decyzja może zadecydować o życiu lub śmierci – wspomina.

Pani Anna od pierwszych dni wojny jeździła na wschód ze wsparciem. Z innymi osobami, jak choćby Przemyślaninem Grzegorzem Lewandowskim, który organizował i realizował wiele akcji wsparcia dla Ukraińców. Nie tylko w Przemyślu, ale również np. w słynnym, interwencyjnym programie telewizyjnym „Sprawa dla reportera" Elżbiety Jaworowicz. M.in. mówił o tym, że po-

POLACY NADAL SĄ POSTRZEGANI BARDZO POZYTYWNIE. LUDZIE DOCENIAJĄ NASZĄ POMOC I WSPARCIE DLA UCHODŹCÓW

REKLAMA 0011482494

OBWIESZCZENIE O III PRZETARGU

Burmistrz Mogilna

ogłasza III przetarg ustny nieograniczony

na sprzedaż nieruchomości gruntowej niezabudowanej, inwestycyjnej.

Dodatkowe informacje można uzyskać w Wydziale Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska (pok. nr 213), tel. nr (52) 318 55 46,.

a także na stronie internetowej Urzędu Miejskiego w Mogilnie

(www.bip.mogilno.pl)

lub na tablicy ogłoszeń Urzędu w okresie od 23 lutego 2026 r. do 23 kwietnia 2026 r.

eprasa.pl 9ba1bacde5

FOT. ARCHIWUM

Anna Maria Jaremenko: W 2022 roku najważniejsze było ratowanie życia. A więc pomoc w postaci żywności, wody, leków, sprzętu medycznego, wsparcie uchodźców w dotarciu do bezpiecznych miejsc. Teraz potrzeby są bardziej długofalowe: odbudowa domów, wsparcie psychologiczne, rehabilitacja rannych, edukacja dzieci i wsparcie ekonomiczne dla lokalnych społeczności

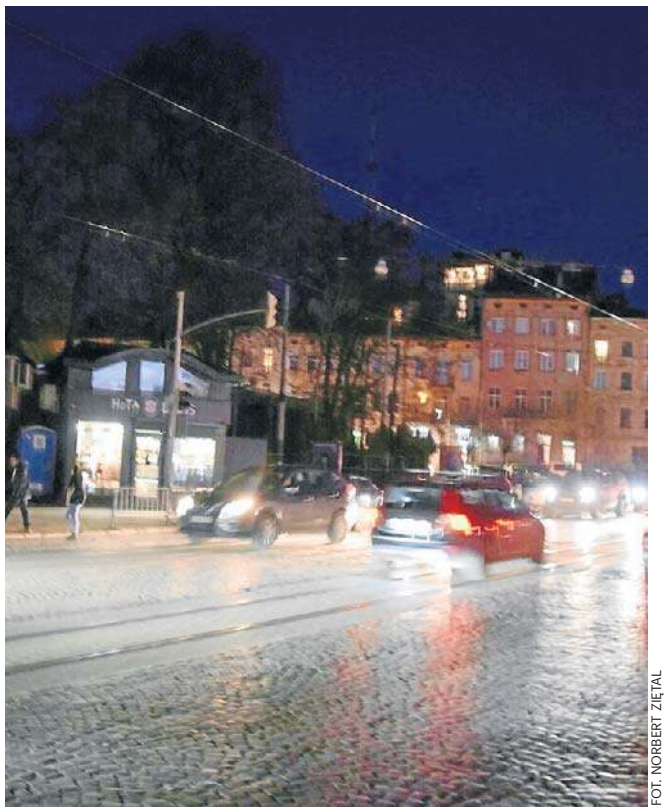

FOT. NORBERT ZIĘTAL

Ukraińskie miasta z reguły pogrążone są w ciemności. Utrapieniem dla Lwowa i mieszkańców wielu innych miejscowości są ciągłe przerwy w dostawie prądu, spowodowała atakami Rosjan na sieci energetyczne

trzeba dużego agregatora prądu do ukraińskiego szpitala. Kilka minut po emisji do redakcji programu zadzwonił przedstawiciel firmy i oświadczył, że da taki generator.

Problemem był skomplikowany transport przez granicę do Lwowa, bo ten generator ważył aż cztery tony. Pomogła ówczesna wicemarszałek Sejmu Małgorzata Gosiewska - agregat trafił do szpitala pod Lwowem.

- W 2022 roku najtrudniejsze było widzieć chaos i cierpienie ludzi. Trzeba było szybko podejmować decyzje w niebezpiecznych warunkach, bez wystarczających zasobów. Teraz trudniejsze jest zmęczenie wojną. Obudowa infrastruktury, trauma psychiczna ludzi, potrzeby ekonomiczne, które narastają - mówi Anna Jaremenko.

Lwów się zmienił, przybywa mogił poległych

Wiktor Halczyński przekonuje, że Lwów od lutego 2022 bardzo się zmienił. Nie ma już tutaj głośnych festiwali, z których słynęło to duże miasto. Prawie każdego dnia miasto żegna się ze swoimi najlepszymi obywatelami, które zginęli na wojnie. A poległych wciąż przybywa.

Związanych ze Lwowem żołnierzy chowano na Cmentarzu Łyczakowskim, potem na Polu Marsowym - obecnie Kompleksie Pamięci Bohaterów Ukrainy. Obszerny teren w ciągu czterech lat został zapełniony i został już zamknięty dla pogrzebów. Na lwowskim Łyczakowie rośnie nowy cmentarz bohaterów, na miejscu radzieckiego „Kopca sławy".

- Nasze miasto stało się hubem medycznym i centrum protetyki i rehabilitacji rannych, ponieważ ostrzały Rosjan nie są tak częste, jak w Kijowie czy w centralnej Ukrainie. Ale Lwów też ma problem z energetyką. Po ostrzałach prąd do mieszkań dociera zaledwie przez cztery do sześciu godzin dziennie, i tak przez tydzień lub dwa, aż do naprawy sieci - mówi pan Wiktor.

Opowiada, że mieszkańcy Lwowa przyzwyczaili się do alarmów powietrznych. Reagują od razu i ukrywają się w schronach. Ukraiński system alarmowy został tak dopracowany, że użytkownicy otrzymują dodatkowe powiadomienie, gdy rakieta leci bezpośrednio w kierunku ich miasta.

- Niestety, w żadnym miejscu w Ukrainie nie można czuć się bezpiecznie, bo rakiety przylecieć mogą wszędzie - twierdzi pan Wiktor.

Wojna trwa już cztery lata. Ukraińcy bardzo by chcieli, żeby jak najszybciej się skończyła. To jest naturalne.

- Natomiast prawie wszyscy rozumieją, że Rosja nie chce pokoju i ma cel zniszczyć Ukraińców jako narodowość, co potwierdzają terrorystyczne ataki na obiekty cywilne i na zwykłych ludzi. Z tego względu ludzie są świadomi, że wojna może trwać jeszcze długo. Aż do czasu, gdy Rosja nie będzie już w stanie dalej prowadzić wojny - twierdzi pan Wiktor.

Podkreśla, że obecnie żadne gwarancje nie są w stanie zagwarantować pokoju.

Faktycznie, zastanawiające jest to, że zawsze przed kolejnymi turami rozmów o pokoju Rosja przeprowadza zmasowane ataki na Ukrainę. Trudno w takich sytuacjach wierzyć w szczere chęci zawarcia pokoju.

Polacy nadal są postrzegani pozytywnie

Na początku wojny wiele mówiono o prawdziwym pojednaniu Polaków i Ukraińców, o trwałej przyjaźni. Zwykli ludzie i decydenci, z niewielkimi wyjątkami, byli wyjątkowo zgodni. Niedługo ta sytuacja trwała. Na początku wojny Polacy widzieli głównie przestraszonych, niezbyt zamożnych ludzi, którzy uciekali przed wojną. Głównie kobiety z dziećmi. Jednak później wielu Polaków raziło przywożone bogactwo na pokaz - zwłaszcza młodzi mężczyźni z Ukrainy, którzy zajeżdżali pod sklepy w luksusowych limuzynach i wydawali spore pieniądze zamiast walczyć na froncie o swoją ojczyznę.

Z drugiej strony wielu właścicieli polskich firm odetchnęło z ulgą, gdy okazało się, że Ukraińcy mogą zastąpić w firmach Polaków, którzy za lepszymi poborami wyjechali na Zachód.

Nie brakowało przejmujących scen, jak ta z pierwszych miesięcy wojny. Supermarket w gminie koło Przemyśla. Na parking zajeżdża kilka leciwych terenówek. Kierowcy, Ukraińcy, wysiadają i robią zakupy. Jeden kupuje tanią konserwę, chleb, czekoladę. Inny colę i kiść bananów. „Przed nami daleka droga. Te auta jadą na front. Długo tam nie posłużą, zostaną zniszczone w walce. Za kilka dni wrócimy po nowe auta". Kogoś ujęła ta postawa, a widząc skromne zakupy kierowców, kupuje dwie zgrzewki konserw i po zapłaceniu daje Ukraińcom. Podobnie reagują dwie inne osoby. „To są prawdziwi wojownicy. Takim trzeba pomóc" - ktoś uzasadnia swoje wsparcie ludziom, którzy ze zdziwieniem patrzą na sytuację przed kasami.

- Polacy nadal są postrzegani bardzo pozytywnie. Ludzie doceniają naszą pomoc i wsparcie dla uchodźców. Spotykając się z nimi w sklepach czy na ulicy, często słyszy się wdzięczność i ciepłe słowa, zarówno od zwykłych mieszkańców, jak i żołnierzy - mówi pani Anna.

- Zwykli Ukraińcy mają pozytywne nastawienie do Polaków i są wdzięczni zarówno za otwarte serca i drzwi w 2022 roku, jak i za pomocowe inicjatywy roku 2026. Wśród takich jest niedawna, niesamowita zbiorka na agregaty prądotwórcze dla Kijowa i miast centralnej i wschodniej Ukrainy, pomoc dla frontu i cywilnym ludziom od polskich wolontariuszy i fundacji. Nie ma już takiej sytuacji, jaka była w 2022 roku, kiedy ludzie na ulicach i w tramwajach dziękowali za pomoc ludziom mówiącym po polsku, ale spokojne, pozytywne nastawienie nadal jest - opowiada pan Wiktor. Dodaje, że nie można tego powiedzieć o relacjach politycznych lub między instytucjami państwowymi, gdzie w szerokiej skali panuje tzw. syndrom Linii 102.

Linia kolejowa 102 przebiega przez Polskę i Ukrainę, zaczyna się w Przemyślu. W ostatnich latach odnowiona po ukraińskiej i polskiej stronie. Jednak, choć obie strony deklarują maksymalną chęć do współpracy na rzecz obu narodów, sto dwójka jest pusta. Nie kursują po niej pociągi, które mogłyby wozić choćby turystów lub towary. Coś nie może zaskoczyć.

- Niestety, w Ukrainie zmniejsza się widoczność i rola polskiego biznesu oraz instytucji, co nie przyczynia się do ustalenia i rozwoju inicjatyw korzystnych dla obu państw. 15 stycznia ukraiński parlament nie dał rady ratyfikować umowy między rządami Ukrainy i Polski o działalności Banku Gospodarstwa Krajowego w Ukrainie, która pozwoliłaby na tanie kredytowanie ukraińskich firm w warunkach wojny. Zabrakło głosów. No i warto wspomnieć właśnie o wspólnie odbudowanej linii kolejowej 102, która stoi pustką już trzeci rok po odbudowie przez to, że obie strony nie mogą dojść do porozumienia o wzajemnie wygodnych warunkach jej wspólnej eksploatacji - twierdzi pan Wiktor.

Jednak dodaje, że ukraiński biznes szuka i znajduje partnerów w Polsce i zakłada lub kupuje firmy w Polsce, korzystając z polskich preferencji inwestycyjnych. Dość aktywny jest import polskiego towaru do Ukrainy.

To potwierdza, że zawsze możemy się dogadać z wzajemną korzyścią dla wszystkich.

Jaka jest dzisiaj zachodnia Ukraina?

- Miasta zachowują pozory normalności, ale widać zniszczenia i zabezpieczenia. Ludzie przyzwyczaili się do alarmów powietrznych, reagują szybko, ale starają się normalnie żyć. Lwów jest względnie spokojny, ruch w mieście jest normalny, a schrony są gotowe na wypadek zagrożenia - mówi pani Anna.

Twierdzi, że większość Ukraińców wierzy, że Ukraina ostatecznie wygra. Chcą jednak odzyskać całe swoje terytorium i nie chcą szybkiego zakończenia wojny kosztem utraty ziem. Są realistyczni, wiedzą, że wojna może trwać długo, ale nie tracą nadziei.

- Obecnie głównie chodzi o sprawiedliwy pokój. Chcemy „żelaznych" gwarancji, że nowa wojna nigdy nie wybuchnie, i odpowiedzialności winnych w wojnie i terroryzmie wobec cywilnych Ukraińców. Niestety, Ukraina ma smutne doświadczenie wymiany broni jądrowej na papier pod nazwą Memorandum Budapesztańskie, który został naruszony przez jedną z jego stron. Tak już nie będzie. Ukraina jest gotowa rozpocząć negocjacje o wstrzymaniu działań na obecnej linii frontu, natomiast Rosja takich propozycji nie przyjmuje i wystawia nierealistyczne warunki. Wojna będzie trwać do uniemożliwienia jej prowadzenia przez Rosję lub uzyskania twardych gwarancji bezpieczeństwa (co jest prawie nierealne), a pytanie o odzyska-nie utraconych terenów jest drugorzędne - twierdzi pan Wiktor.

Dodaje, że Ukraińcy mają nadzieję, że wojna wreszcie się skończy, a ich kraj wejdzie do Unii Europejskiej i będzie się mógł rozwijać jak normalne, europejskie, demokratyczne państwo zachodniego typu.

- Pomoc jest potrzeba teraz, ale będzie konieczna również po zakończeniu wojny. Chodzi o odbudowę miast, wsparcie psychiczne i medyczne, edukację dzieci, rehabilitację rannych. Chcę współpracować z lokalnymi organizacjami, żeby wsparcie było długofalowe i skuteczne, pomagać Ukrainie wrócić do normalnego życia - podkreśla pani Anna.

eprasa.pl 9ba1bacde5

WOJNA KIEDYŚ SIĘ SKOCZY, ALE KTO ODBUDUJE UKRAINĘ?

Mieszkańcy Ukrainy mają nadzieję, że niebawem ich udręka się skończy. Na horyzoncie pojawił się jednak kolejny problem, o którym mało się mówi: demografia. Młode kobiety masowo wyjeżdżają, a młodzi mężczyźni giną na wojnie

Kazimierz Sikorski

W jednej ze szkolnych klas lasie w zachodniej Ukrainie nastolatkowie zastanawiają się nad swoją przyszłością. Siedemnastoletnia Kira Juchymenko myślała o studiach w rodzinnym kraju, ale w przerwie między egzaminami końcowymi marzy teraz o wyjeździe na studia za granicę.

Wojna odmieniła myślenie młodych ludzi

„Wojna pomogła nam zrozumieć, kim jesteśmy" – powiedziała podczas dyskusji w swojej szkole, Liceum nr 66, we Lwowie. „Poszerzyła nasze horyzonty i uczyniła nas bardziej niezależnymi", opisuje The Telegraph.

Od wybuchu wojny i wprowadzenia stanu wojennego młodzi mężczyźni mają zakaz opuszczania Ukrainy po ukończeniu 22 lat, ale młode kobiety, takie jak Juchymenko, mogą wyjechać.

W miarę jak wojna się przedłużała, wielu z nich zdecydowało się na taki ruch, zamieniając nękaną wojną Ukrainę na spokojne miasta Europy. Niewielu wróciło, fala wyjazdów rośnie.

To nie tylko drenaż mózgów, gdy najlepsi i najzdolniejsi Ukraińcy opuszczają ojczyznę. Ta fala jest także bombą demograficzną z opóźnionym zapłonem.

Kraj uwikłany w walki na wyniszczenie z Rosją, ma obawy o to, kto odbuduje Ukrainę po zakończeniu wojny, jeśli młodzież nie wróci.

Lepsze życie jest w innym kraju

Grupa uczniów ostatniego roku wybrała sobie temat dyskusji: „Edukacja i przyszłe możliwości zawodowe na Ukrainie".

Ich nauczycielka Ludmiła Makohin mówiła, że wielu rozważa emigrację. „Sytuacja pogarsza się z każdym dniem, bo wojna sprawiła, że młodzi wybierają uczelnie w Europie, a nie na Ukrainie" – mówiła „The Telegraph".

Makohin poprosiła uczniów o podniesienie ręki, jeśli myślą opuścić ojczyznę po zakończonych egzaminach. Trzy dziewczyny zareagowały szybko, kilkoro innych uczniów zaczęło się nerwowo śmiać i powoli unosić ręce.

Jedna z uczennic, o imieniu Sofia, powiedziała, że im dłużej trwa konflikt, tym więcej ludzi chce wyjechać z kraju. „Kiedy wojna się zaczęła, ludzie byli entuzjastyczni. Ale minęło dużo czasu i wszyscy są coraz bardziej przygnębieni. Myślą, że lepsze życie jest w innym kraju".

FOT. PAP/EPA

Cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Na wszystkich cmentarzach Ukrainy kwatery wojskowe są olbrzymie

Z tą wypowiedzią zgadza się nauczycielka języka angielskiego Hałyna Pidhrebelna. Komentując dyskusję dodała, że dziewczęta, które opuszczają Ukrainę, „nie widzą tu przyszłości" i wierzą, że lepsze czeka ich za granicą. Sama miała nadzieję, że zawieszenie broni zmieni sytuację Ukrainy, ale straciła wiarę w zaangażowanie USA we wspieranie Ukrainy od wyboru Donalda Trumpa.

Kolejna uczennica, Kira, mówiła, że konieczność ucieczki z Zaporoża w poszukiwaniu względnego bezpieczeństwa w zachodniej części obwodu lwowskiego na Ukrainie zmieniła jej perspektywę.

„Przed wojną nie myślałam o wyjeździe" – mówiła. „Moje rodzinne miasto było małe – nie jak Lwów, bez takich budynków i zabytków. Myślałam, że pójdę na studia do Kijowa albo Charkowa".

Polska była oddalona o kilka kilometrów, więc Kira z rodziną zaczęła odwiedzać nasz kraj. To pomogło jej wyobrazić sobie studia w historycznym Krakowie.

Polska przyjęła więcej ukraińskich studentów niż jakikolwiek inny kraj europejski. Z danych opublikowanych przez Ukrinform w 2023 prawie 45% wszystkich zagranicznych studentów w Polsce stanowili Ukraińcy.Dane te wskazują jednak również na niepokojący wzrost liczby młodych kobiet decydujących się na wyjazd na studia za granicą.

Z danych agencji Radon wynika, że liczba ukraińskich studentek rozpoczynających naukę na polskich uczelniach prawie się podwoiła w ciągu roku po wybuchu wojny. Wzrost liczby młodych mężczyzn był jeszcze większy.

Prestiż uczelni i ucieczka od wojny

Młodych Ukraińców przyciąga nie tylko prestiż zagranicznych uczelni. Przede wszystkim chcą uciec od horroru wojny.

„Gdy słychać alarmy przeciwlotnicze i bombardowania, nie ma mowy o nauce. Trzeba korzystać ze schronów" – powiedziała Kira, dodając, że jej najlepsza przyjaciółka, która uciekła do Lwowa z obwodu sumskiego, też złożyła podanie na studia w Krakowie.

17-letnia Tetiana Matvii, planowała zostać we Lwowie, ale zmieniła plany po tym, jak jej kuzynka dostała gorsze niż oczekiwano oceny – częściowo z powodu alertów przeciwlotniczych podczas egzaminów. „Na Ukrainie jest naprawdę stresująco" – mówiła.

Wyjazd do znajomych na Litwę zainspirował ją do spróbowania studiowania stosunków międzynarodowych w Wilnie – o ile zda egzamin z języka angielskiego.

Mówiła, że podjęcie decyzji było trudne. W wyjeździe za granicę wspierali ją rodzice mówiąc, że da radę. Ona sama nie była pewna. Chciała zamieszkać w kraju, znaleźć pracę i pomóc rodzicom. Ale ponieważ sytuacja się zmieniła, końca wojny nie widać, zmieniły się też jej plany.

Litwa jest mniej popularnym kierunkiem dla ukraińskich studentów. Według doniesień, w 2024 roku w tamtejszych uczelniach studiowało 1100 Ukraińców.

Natomiast austriackie uniwersytety odnotowały duży wzrost zainteresowania Ukraińców studiami licencjackimi. Według austriackiego urzędu statystycznego, liczba studentek podwoiła się między 2021 a 2023 rokiem, z 223 do 447.

17-letni Taras Hryvniak, były uczeń Lwowskiego Liceum Fizyczno-Matematycznego, opuścił kraj, aby studiować na Uniwersytecie Wiedeńskim. Po ukończeniu 23 lat, jeśli przekroczy granicę z Ukrainą, nie będzie mógł wrócić.

Taras zaprzeczył, jakoby ukraińskie przepisy dotyczące poboru do wojska wpłynęły na jego decyzję, ale przyznaje, że jego rodzina pochwaliła go za tę decyzję, ponieważ jego mama bała się o niego.

Taras mówił, że połowa chłopców z jego klasy wyjechała do Europy, dziewcząt nieco mniej. Mówi, że jego klasa była dobra, a jeden z przyjaciół studiuje już na Uniwersytecie Cambridge.

Rodzice naciskają, by dzieci wyjechały z kraju

18-letnia Angelina Kalyniuk ukończyła szkołę w obwodzie iwanofrankowskim na Ukrainie w 2023 roku, a potem rozpoczęła studia na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie.

Mówi, że rodzice często próbują nakłonić swoje dzieci do opuszczenia kraju. Słyszała o sytuacjach, w których dziecko nie chciało jechać, ale rodzice przekonywali, że to najlepszy wybór, bo wojna trwa już tyle czasu.

„Na Ukrainie ciągle coś lata po niebie" – dodała. „Rodzice chcą, żeby ich dzieci miały jak najlepsze życie".

Switłana Bożko, nauczycielka ze Lwowa, wciąż prowadzi lekcje z Angeliną przez Zoom i martwi się, kto odbuduje kraj po wojnie. „To mądra dziewczyna i chciałabym, żeby takie osoby tu były" – mówiła. „Tracimy wielu uczniów, to takie przykre". Spośród 34 uczniów jej klasy maturalnej osiem dziewcząt i dziesięciu chłopców planuje wkrótce wyjechać.

Zwalczanie emigracji młodzieży jest jednym z priorytetów Ministerstwa Edukacji i Nauki Ukrainy. Jewhen Kudriawiec, wiceminister edukacji i nauki Ukrainy, powiedział „The Telegraph", że wysiłki na rzecz utrzymania kapitału ludzkiego kraju zadecydują o tym, „czy przetrwamy, odbudujemy gospodarkę i rozwiniemy państwo".

Chociaż nie ma konkretnego mechanizmu mierzącego liczbę młodych kobiet opuszczających Ukrainę, różne wskaźniki pokazują, że populacja dzieci na Ukrainie gwałtownie spada.

Według Organizacji Narodów Zjednoczonych poza Ukrainą żyje około 2,3 miliona ukraińskich dzieci-uchodźców, z czego większość w Europie.

Wskaźnik urodzeń na Ukrainie spada, a statystyki Ministerstwa Edukacji i Nauki pokazują, że liczba uczniów rozpoczynających naukę spadła w kraju o prawie jedną trzecią od 2021 roku.

Widmo kraju, którego nie będzie miał kto odbudować, pojawia się coraz bardziej.

eprasa.pl 9ba1bacde5

NA KŁOPOTY MATEUSZ Z OKLAHOMY

W Polsce stacjonuje około 7,5 tysiąca amerykańskich żołnierzy. W samym Poznaniu jest ich około 500 (dane z lipca 2025). W Camp Kościuszko współpracują oni z polskimi żołnierzami. O to, by współpraca przebiegała bezproblemowo, troszczy się sgt. Matt Liao

Chrystian Ufa

Sgt. Matt Liao, a dla Polaków po prostu Mateusz urodził się w Oklahomie. Jego rodzice, gdy nie było go jeszcze na świecie, wyemigrowali z Tajwanu do Stanów Zjednoczonych. Tu Mateusz dorastał oraz postanowił wstąpić do armii, którą po pewnym czasie opuścił i pracował m.in jako inżynier, by znów powrócić do wojska jako medyk.

- Myślę, że moje ADHD ma z tym coś wspólnego. Nie chcę popadać w stereotypy, ale jako dziecko, byłem naprawdę dobry z matematyki - mówi Matt, nawiązując do swoich azjatyckich korzeni. - W liceum uczęszczałem na zajęcia przygotowujące do studiów inżynierskich i wiedziałem, że chcę robić coś w tym kierunku. Pracowałem jako mechanik na pół etatu, kiedy byłem w liceum i to właśnie wtedy zrodził się ten pomysł. Jednak kiedy wstąpiłem do wojska, byłem młody i głupi. Pomyślałem sobie: „Oni mogą zapłacić za szkołę". Mój rekruter zapytał mnie: „Co chcesz robić?". Odpowiedziałem: „Chcę walczyć i strzelać do złoczyńców". Byłem bardzo uparty. Bardzo lubiłem robić wszystko, o czym ludzie mówili mi, że nie mogę.

I tak zaczęła się przygoda Mateusza z wojskiem, która ostatecznie przez służbę w Kuwejcie i Iraku doprowadziła go do Polski, a dokładniej do Powidza, czyli jednej z 12 baz wojsk USA w naszym kraju.

Baza ta, jak informuje amerykańskie wojsko, „pełni funkcję strategicznego centrum logistycznego i lotniczego w środkowo-zachodniej Polsce. Znajduje się w niej miejsce pracy Army Prepositioned Stocks2 (APS-2), najnowsza i najbardziej zaawansowana baza APS w armii amerykańskiej - wspierająca szybkie rozmieszczenie sprzętu dla zespołu bojowego brygady pancernej".

Miłość i ślub przez internet

- Dlaczego wybrałeś Polskę i to, aby przyjechać do Powidza? - pytam Mateusza, gdy siedzimy w biurze na piętrze w Camp Kościuszko, czyli miejscu jego służby. Na tym terenie ponad sto lat temu były pruskie koszary.

- Och, wybrałem ponieważ musiałem - odpowiada żołnierz.

- Musiałeś? - dopytuję.

- Musiałem, a potem po prostu się zakochałem.

Mateusz opowiada o Polce, którą poznał przez internet, a która obecnie jest jego żoną.

- Pracowałem w Powidzu jako medyk. Wówczas na Tinderze poznałem moją żonę. Chciałem po prostu porozmawiać z ludźmi i nawiązać nowe znajomości, a potem wszystko potoczyło się samo i nawiązaliśmy kontakt. Bardzo ją kocham. Pomyślałem, że nadszedł czas, aby się ożenić, bo jestem coraz starszy. Pobraliśmy się online, a potem zorganizowaliśmy ceremonię tutaj, w Poznaniu - opowiada sierżant.

Dziś mieszkają razem w stolicy Wielkopolski, gdzie ostatecznie przeniósł się Mateusz. Mężczyzna stara uczyć się języka polskiego. Jak sam mówi, chce wywoływać wśród ludzi zdziwienie.

Żołnierza przedstawiono mi jako „burmistrza". Mateusz z grzeczności zaprzecza, mówiąc, że jego rolą jest dbanie o jakość życia żołnierzy i rozwiązywanie bądź niedopuszczanie do powstania problemów.

- Jeśli pojawia się jakiś problem lub coś, co wpływa na jakość życia żołnierzy, muszę się tym zająć - tłumaczy Mateusz.

Mateusz znajdzie sposób

- Z jakimi problemami zgłaszają się do ciebie żołnierze? - dopytuje.

- Często chodzi o miejsca noclegowe, sale szkoleniowe, miejsce do treningu itp. Może to być konflikt terminów w przypadku określonej rezerwacji. Czasem może chodzić o miejsce pobytu danej osoby lub przyczynę takiej, a nie innej sytuacji. Muszę niejako po prostu znajdować odpowiedzi. W poniedziałki i piątki regularnie spotykamy się z ludźmi, aby upewnić się co do planów na najbliższy czas. Dysponujemy przestrzenią i możliwościami, dzięki którym mogą oni przeprowadzać wszelkie potrzebne szkolenia - odpowiada Matt.

Nagle do biurka sierżanta podchodzi żołnierz, ewidentnie z Polski niezbyt umiejący wysłowić się po angielsku. Problem, z którym przyszedł, może wydawać się banalny: nie wiedział, jak zgasić światła Hall of Honor, czyli małym wojskowym muzeum z salą do oficjalnych spotkań.

Niby drobiazg, ale Mateusz musi rozwiązać i taki kłopot. Udaje się znaleźć wyłącznik i zgasić światła w pomieszczeniu. Później wybieramy się na typowy dla Mateusza obchód, podczas którego sprawdza, czy wszystko działa „jak w amerykańskim zegarku".

- Staram się przychodzić do bazy około 6.30, żeby pójść na siłownię, jednak pracę zaczynam około 7 lub 7.30, a kończę między 16 a 16.30. Często jednak dostaję telefony lub SMS-y już w domu. Zdarzały się sytuacje awaryjne, na przykład, gdy 40 osób znalazło się w trudnej sytuacji - mówi żołnierz.

- Próbujesz połączyć stronę polską i amerykańską, aby mogły współpracować? - rzucam.

- Zasadniczo tak. To dobry powód. Ułatwiam to. Dbam o to, aby wszyscy wiedzieli, co się dzieje - dodaje Matt, którego rolę można sprowadzić do słów: „Masz problem? Udaj się do Mateusza".

Dzień z życia amerykańskiego żołnierza

Teraz udajemy się jednak na siłownię, czyli miejsca, za którym sierżant przepada. Został on wybrany z całego garnizonu, by reprezentować go w konkursie międzywojskowym.

Sam skromnie śmieje się, mówiąc, że chyba nie mieli nikogo lepszego do wyboru, między słowami można wyczytać, że chodzi o jego niski wzrost, do którego, jak do większości rzeczy, Mateusz podchodzi z ogromnym dystansem.

- Moim celem na zawodach jest pokonanie w rywalizacji kobiety-żołnierza - rzuca z uśmiechem Mateusz, nabierając coraz to większy ciężar na swoją osobistą sztangę,

Po prostu jako jedyny z żołnierzy przemierza Camp Kościuszko ze sztangą na plecach. Mimo chłodu na dworze robi to w samej koszulce i krótkich spodenkach. Jak sam mówi, lubi walczyć z przeciwnościami losu. Mimo wzrostu za młodu zdecydował się dołączyć do drużyny futbolu amerykańskiego - gdzie ostatecznie grzał ławę - a gdy nie chodził na siłownię i nie miał stojaka do przysiadów, wówczas zrobił własny drążek do z kamieni, wody i dużej rury PCV.

Cechuje się tym, że jest zawzięty i uparty. Uczy się polskiego, jednak przychodzi mu to z trudem. Słuchać, wysłuchać, posłuchać w języku polskim jest o wiele bardziej skomplikowane niż ich odpowiednik, czyli słowo listen w angielskim.

- Dlaczego zdecydowałeś się zostać w Polsce? - podpytuję.

- Przede wszystkim zostałem dla mojej żony. A potem pomyślałem: „O, nie jest tu źle. Trochę przypomina mi to Oklahomę, ale jest bardziej rozległe". Nadal jednak czuję się niezręcznie, gdy ktoś mnie wita, a ja tej osoby nie znam, a tutaj jest to normalne - opowiada Mateusz. - Uważam, że polska kultura jest bardzo przyjazna, gdy już znajdzie się swoją grupę. Jesteście bardzo szczerzy. Relacje międzyludzkie mają tu większe znaczenie niż w Stanach Zjednoczonych. Lubimy mówić „nasi przyjaciele". Wy macie tego trzy różne wersje: współpracowników, kolegów i bliskich przyjaciół. My natomiast mówimy „przyjaciele" o wszystkich. Ale na podstawie tonu głosu można się zorientować, który z nich jest prawdziwy. Większa autentyczność jest w tym, co kocham w Polsce.

Ostatnio w polskich mediach głośno było, o tym, że amerykańscy żołnierze mają przeżywać szok cenowy, przybywając do Polski.

Tak wynikało z artykułu opublikowanego przez „Stars and Stripes", czyli portal należący do wojska Armii USA.

- Różnica polega na tym, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że w Polsce trzeba z góry zapłacić depozyt o wartości czynszu za cały miesiąc. To zupełnie nowa kultura. Często żołnierze borykający się z trudnościami to szeregowi żołnierze niższych stopni, którzy nadal muszą płacić czynsz w Stanach Zjednoczonych, zanim się wyprowadzą. Kiedy więc przyjeżdżają tutaj, nie zdają sobie sprawy, że będą musieli zapłacić kaucję z góry. „O, nie mam w tej chwili tych pieniędzy" - mówią. Wiele zależy więc od rozpowszechniania wśród nich informacji. To nie ich wina, ale powiedziałbym, że jest to dla żołnierzy dość trudne - uważa sgt. Matt Liao.

Sierżant wyznaje jednak, że stara się o zieloną kartę dla swojej żony. Zostanie w Polsce do czasu jej otrzymania. Mateusz planuje bowiem powrót do Stanów Zjednoczonych z żoną i karierę medyczną.

Żołnierz i cywil to nie to samo

Jakie są największe różnice między życiem żołnierza a cywila?

- Armia ma swoje zasady i przepisy. Dlaczego musimy stać w określony sposób lub salutować w określony sposób. Wszystko, co robisz, ma swój cel. Ważne jest, żeby wiedzieć, kiedy zdjąć czapkę lub wrócić do domu. To prawie tak, jakbyś zmieniał osobowość. Umiejętność poruszania się i wiedza, kiedy zachowywać się w określony sposób, to prawdopodobnie najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem - podsumowuje sgt. Matt Liao.

FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Matt Liao jest człowiekiem od rozwiązywania problemów: od drobnych po poważne

eprasa.pl 9ba1bacde5

Polska
Poniedziałek, 23.02.2026

ŻYŁ Z CZTEREMA KOBIETAMI. JAK DAŁY MU SIĘ OWINĄĆ WOKÓŁ PALCA?

Dolnośląski Tulipan uwiódł, założył rodzinę i prowadził wspólne życie. Jedna z nich była jego żoną, kolejne dwie to narzeczone, a czwarta partnerka. Kobiety przez lata nie wiedziały o sobie nawzajem

Karolina Kwiatek

Jedyną kobietą, której nie wpakował w potężne długi, była jego własna żona. Pozostałe narzeczone straciły nie tylko miłość, ale i pokaźne majątki. Na pytanie, dlaczego zdradzał i oszukiwał, dolnośląski Tulipan odpowiedział krótko: „Biznes jest biznes". My jednak próbujemy dowiedzieć się czegoś więcej. Jak to możliwe, że nawet mądre i zaradne kobiety dają się oszukać nieszczerym amantom? O tym odpowiada nam Agnieszka Skruczaj-Olejnik, psycholożka i wykładowczyni z Uniwersytetu SWPS.

FOT. PEXELS

Czasem manipulatorzy stosują też tzw. love bombing, czyli intensywne okazywanie uczuć i zainteresowania już na wczesnym etapie znajomości. Robią to jednak po to, by szybko zbudować silne więzi

Żona, dwie narzeczone i partnerka

Tomasz K. nie otrzymał swojego pseudonimu przez przypadek. Dolnośląski Tulipan zasłużył na niego, rozkochując w sobie kilka kobiet z naszego województwa. Uwiódł, założył rodzinę i prowadził wspólne życie. Jedna z nich była jego żoną, kolejne dwie to narzeczone, a czwarta partnerka. Kobiety przez lata nie wiedziały o sobie nawzajem. Sielanka nie mogła jednak trwać wiecznie.

Mężczyzna pilnował się i zawsze miał logiczne wytłumaczenie swojej nieobecności. Wyjeżdżał do pracy w Jeleniej Górze. Pomagał koledze za granicą. Odwiedzał syna. – Są przecież takie związki, gdy mężczyzna jest często poza domem – myślała pani Anna (jedna z pokrzywdzonych – red.). „Nic nie zapowiadało dalszych wydarzeń. Żadnych poszlak znanych z filmów: szminki na kołnierzyku, innych perfum, pomyłki w imionach" – czytamy w artykule naszej redakcyjnej koleżanki Aliny Gierak, która wówczas pracowała dla „Nowin Jeleniogórskich".

Po kolejnej awanturze para się rozstała. To właśnie wtedy pani Anna miała dowiedzieć się o pozostałych kobietach, w tym żonie. Ich ścieżki nie rozeszły się po zakończeniu relacji. W grę weszły pieniądze. Mowa o niebagatelnej kwocie, bo o blisko 10 milionach złotych.

7 lat do odsiadki

Tomasz K. regularnie spotykał się ze swoimi byłymi partnerkami w sądzie. Mężczyzna nigdy nie przyznał się do winy, a nieoficjalnie udało nam się ustalić, że podczas procesu próbował przekonać sąd do tego, że sam padł ofiarą spisku. Mimo tego, został skazany za „oszustwo matrymonialne 4 kobiet oraz oszustwo trzech innych osób, z którymi prowadził interesy".

Teraz ma spędzić w więzieniu 7 lat. Do tego będzie musiał zapłacić 105 000 zł grzywny i naprawić szkody wyrządzone byłym kochankom i partnerom biznesowym. Szacuje się je na kwotę w wysokości około 10 mln zł. Wyrok zapadł w drugiej połowie stycznia 2026 roku.

Jak dały się oszukać?

– Przypadek tzw. dolnośląskiego Tulipana pokazuje, że mechanizmy oszustw romantycznych działają zarówno w relacjach internetowych, jak i tych budowanych twarzą w twarz, ponieważ kluczowe jest umiejętne stworzenie silnej więzi emocjonalnej – mówi Agnieszka Skruczaj-Olejnik, psycholożka oraz wykładowczyni z Uniwersytetu SWPS. I dodaje: Gdy pojawia się poczucie wyjątkowości, zaangażowania i wspólnej przyszłości, partner przestaje być postrzegany jako osoba z zewnątrz, a rosnące zaufanie i idealizacja naturalnie obniżają czujność. Historia ta przypomina, że podatność na manipulację nie jest oznaką słabości, lecz wynika z fundamentalnej ludzkiej potrzeby bliskości i zaufania.

Ekspertka podkreśla, że ofiary oszustw „romantycznych" nie przegrywają z własną naiwnością, tylko z kimś, kto bardzo precyzyjnie wykorzystuje naturalną ludzką potrzebę bliskości i zaufania. Dlatego absolutnie nie zgadza się z komentarzami, które często są publikowane pod artykułami o tego typu zdarzeniach. Najczęściej pojawiają się wówczas twierdzenia, że pokrzywdzony musiał być co najmniej niezaradny życiowo, skoro nie zorientował się, co się święci. Ale czy faktycznie tak jest? Zdaniem Agnieszki Skruczaj-Olejnik absolutnie nie.

MA SPĘDZIĆ W WIĘZIENIU 7 LAT. DO TEGO BĘDZIE MUSIAŁ ZAPŁACIĆ 105 000 ZŁ GRZYWNY I NAPRAWIĆ SZKODY WYRZĄDZONE M.IN. BYŁYM KOCHANKOM

Z perspektywy obserwatora oszustwo wydaje się oczywiste, ponieważ znamy jego zakończenie. To tzw. efekt mądrości po fakcie, który sprawia, że przeceniamy własną zdolność przewidywania. Ofiara doświadcza jednak relacji stopniowo, bez świadomości manipulacji. – Oszuści najpierw budują więź, zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, a gdy relacja nabiera emocjonalnego znaczenia, rośnie zaangażowanie i maleje czujność – mówi psycholożka. Dodatkowo przyznanie się do pomyłki w ocenie partnera jest psychologicznie trudne. Ludzie mają naturalną potrzebę postrzegania własnych decyzji jako trafnych. Uruchamia się u nich tzw. mechanizm redukcji dysonansu poznawczego. – Gdy inwestujemy w relację czas, emocje czy pieniądze, dążymy do utrzymania przekonania, że nasze decyzje były prawidłowe. Informacje podważające ten obraz wywołują napięcie psychiczne, dlatego częściej je racjonalizujemy lub bagatelizujemy niż zmieniamy swoje stanowisko – dodaje.

Jak to się dzieje, że oszuści mogą być tak skuteczni? Udaje im się, ponieważ opierają się przede wszystkim na umiejętnym wykorzystaniu potrzeb każdego człowieka, a przede wszystkim na potrzebie bliskości, czyli bycia zauważonym, ważnym i kochanym.

– Potrzeba bliskości jest mechanizmem uwarunkowanym biologicznie i ewolucyjnie, który przez tysiące lat zwiększał szanse człowieka na przetrwanie. Rodzimy się z wrodzonym systemem dążenia do więzi, ponieważ bliskość obniża stres, wzmacnia poczucie bezpieczeństwa i pomaga regulować emocje. Relacje aktywują system nagrody w mózgu, uwalniając m.in. oksytocynę i dopaminę, co zwiększa zaufanie i może czasowo obniżać krytycyzm. Właśnie dlatego mechanizmy, które pozwalają nam kochać i ufać, w sprzyjających warunkach mogą jednocześnie zwiększać podatność na manipulację, szczególnie gdy ktoś oferuje uwagę, zrozumienie i emocjonalne wsparcie – opisuje psycholożka.

Zdaniem ekspertki dostrzeżenie, że jest się manipulowanym, to bardzo trudne, a przy tym i bolesne doświadczenie – zwłaszcza że taka relacja może trwać nawet latami. Wbrew pozorom oszuści „romantyczni" bardzo rzadko działają raptownie i bez pomyślunku. Agnieszka Skruczaj-Olejnik twierdzi, że raczej starają się „urabiać" człowieka. To właśnie z tego powodu codziennie mogą pojawiać się wiadomości, wyznania czy plany na wspólną przyszłość.

Czasem manipulatorzy stosują też tzw. love bombing, czyli intensywne okazywanie uczuć i zainteresowania już na wczesnym etapie znajomości. Robią to jednak po to, by szybko zbudować silne więzi, stworzyć uzależnienie emocjonalne i uzyskać kontrolę nad partnerem. – Wraz z rosnącym zaangażowaniem emocjonalnym, związanym z silnymi emocjami, pojawia się zaangażowanie psychologiczne, czyli świadomy wybór inwestowania zasobów (czasu, energii, uwagi) w relację. Jest bardziej stabilne i oparte na logice oraz wartościach. Duża inwestycja w relację utrudnia wycofanie się z relacji i przyznanie do pomyłki – dodaje Agnieszki Skruczaj-Olejnik.

Z miłości do pieniędzy

Psycholożka skupia się także na sprawcach. Mówi, że często są w stanie rozpoznawać potrzeby emocjonalne i precyzyjnie dopasowywać do nich swoje zachowanie, a do tego bywają nie tylko przekonujący, ale i cierpliwi oraz konsekwentni. Niestety, relację traktują instrumentalnie – jako narzędzie prowadzące do zysku.

U części z nich można dostrzec cechy tzw. ciemnej triady osobowości: narcyzmu, makiawelizmu i psychopatii. Narcyzm przejawia się poczuciem własnej wyjątkowości i przekonaniem o prawie do szczególnego traktowania, makiawelizm jest związany z chłodną kalkulacją i strategicznym manipulowaniem innymi, natomiast psychopatia wiąże się z impulsywnością, brakiem wyrzutów sumienia, niskim poziomem lęku i antyspołecznym zachowaniem. Taka konfiguracja cech sprawia, że potrafią wykorzystywać cudze emocje bez wewnętrznego konfliktu i traktować relacje wyłącznie jako narzędzie realizacji własnych celów. – Co istotne, osoby o tych cechach często wydają się czarujące i wiarygodne, ponieważ pewność siebie i brak lęku mogą być mylone z siłą charakteru – uzupełnia Agnieszka Skruczaj-Olejnik.

eprasa.pl 9ba1bacde5

MATERIAŁ INFORMACYJNY POWER CONNECT

0011482113

PowerConnect 2026 – o przyszłości i transformacji branży energetycznej w praktyce

PowerConnect 2026 to II edycja największych w północnej Polsce targów i konferencji, poświęconych tematyce energetycznej oraz branżom pokrewnym wspierającym sektor energetyczny. Wydarzenie dedykowane wszystkim, którzy chcą nie tylko rozmawiać o przyszłości energetyki, ale zobaczyć ją w działaniu.

Ponad 7 000 gości branżowych. 13 tys. metrów kwadratowych powierzchni wystawienniczej. To liczby wiele mówiące o II edycji targów. W nowoczesnej przestrzeni AMBEREXPO wystawcy zaprezentują swoje innowacje i pokażą je na żywo w akcji, a inwestorzy opowiedzą o potrzebach związanych z planowanymi zamówieniami. PowerConnect realizowane są jednak w szerszej formule niż tradycyjne targi. Przewidziane w programie wydarzenia łączą biznes, edukację, naukę, inwestorów, podwykonawców, technologie i praktykę. Szeroka perspektywa, z jaką na branżę energetyczną spojrzy PowerConnect, ma być narzędziem umożliwiającym lokalnym firmom, pracownikom, instytucjom naukowym, jak największe wykorzystanie potencjału drzemiącego w transformacji energetycznej.

Siła Polskich Dostawców – spotkania największych polskich spółek energetycznych z podwykonawcami

PowerConnect 2026 stanie się jednym z najważniejszych miejsc spotkań inwestorów energetycznych z dostawcami i podwykonawcami. Siła Polskich Dostawców to wydarzenie zaprojektowane, aby rozwiązywać problemy w łańcuchu dostaw sektora energetycznego, łącząc inwestorów z wykwalifikowanymi dostawcami.
Przedstawiciele inwestorów i generalnych wykonawców w przystępny sposób zaprezentują nadchodzące projekty, wymagania oraz przebieg procesów w różnorodnych formułach zrealizują m.in.: Energa-Operator, PGE Baltica, Polskie Sieci Elektroenergetyczne (PSE), Polska Spółka Gazownictwa (PSG), GP Baltic, GPEC. To wydarzenia, podczas których zespoły zakupowe i projektowe największych spółek spotykają się bezpośrednio z firmami wykonawczymi, podwykonawcami.

Ciepłownictwo w centrum transformacji – debata parlamentarna i rynek dostawców

Jednym z kluczowych wątków PowerConnect będzie przyszłość polskiego ciepłownictwa systemowego. W programie znalazły się również panele:
• „Strategiczne partnerstwa międzysektorowe w transformacji energetycznej na przykładzie Gdańska"
• „Inwestycje w lokalną energetykę i ciepłownictwo – odzysk energii z odpadów"
• „Przyszłość ciepłowni: hybrydowe układy gazu, biometan, OZE i zarządzanie danymi".
Uzupełnieniem części merytorycznej będzie Suppliers Day GPEC oraz planowany Suppliers Day Orlen Termika, co tworzy bezpośrednie połączenie między debatą regulacyjną a realnymi projektami inwestycyjnymi.
Wydarzeniu towarzyszyć będzie wspólne posiedzenie Podkomisji ds. Transformacji Energetycznej oraz Parlamentarnego Zespołu ds. Ciepłownictwa, które odbędzie się 19 marca.

PowerConnect w Gdańsku, największe w północnej Polsce targi i konferencje poświęcone tematyce energetycznej i branżom wspierającym energetykę, odbędą się 18–20 marca w AMBEREXPO. Więcej informacji dla gości i potencjalnych wystawców znajduje się na stronie powerconnect.pl.

Offshore na Bałtyku – inwestycje, local content i międzynarodowe partnerstwa

Morska energetyka wiatrowa będzie jednym z filarów PowerConnect. Zaplanowano wydarzenia skierowane do firm zaangażowanych w rozwój projektów na Bałtyku i takich, które chciałyby w nich uczestniczyć.
W ramach ścieżki tematycznej offshore odbędą się: Suppliers Day PGE Baltica, Suppliers Day GP Baltic.
Powstanie także Wyspa Offshore. To zupełnie nowa strefa przygotowana z myślą o firmach i specjalistach działających w obszarze morskiej energetyki wiatrowej. Strefa powstaje we współpracy z Polską Izbą Morskiej Energetyki Wiatrowej i będzie miejscem prezentacji firm zrzeszonych w Izbie oraz podmiotów aktywnie uczestniczących w rozwoju sektora offshore w Polsce.
- Chcemy, aby Wyspa Offshore była przestrzenią otwartą i dostępną – taką, w której uczestnicy wydarzenia mogą swobodnie podejść do wystawców, zobaczyć ich rozwiązania z bliska i porozmawiać o realnych wyzwaniach, technologiach oraz kierunkach rozwoju rynku morskiej energetyki wiatrowej – zachęcają organizatorzy. - Wyspa Offshore ma być miejscem, w którym energię sektora offshore będzie można naprawdę poczuć – poznając firmy, ludzi i technologie, które już dziś współtworzą rynek morskiej energetyki wiatrowej w Polsce.
PowerConnect i Wyspa Offshore będą także okazją do poznania oferty firm prezentujących się w ramach misji gospodarczych z Wielkiej Brytanii (Ambasada UK, Scottish Enterprise) oraz Norwegii (Norwegian Offshore Wind).

Mistrzostwa Polski Energetyków – odpowiedź branży na deficyt kompetencji

Integralną częścią PowerConnect będą Mistrzostwa Polski Energetyków, których współorganizatorem jest Energa-Operator. Mistrzostwa stanowią praktyczny element promocji zawodów technicznych i inżynierskich – kluczowych dla realizacji inwestycji w offshore, sieci przesyłowe, magazyny energii i ciepłownictwo.
Walka zapowiada się emocjonująco. Przewidziane konkurencje kompleksowo zweryfikują zespoły, zarówno pod kątem wiedzy technicznej, umiejętności zawodowych i znajomości procedur bezpieczeństwa, jak i sprawności fizycznej oraz zdolności do szybkiego myślenia pod presją. Mistrzostwa odbędą się na specjalnie przygotowanej arenie, z profesjonalnymi stanowiskami i dedykowanym torem przeszkód. Rywalizacji 3- i 4-osobowych drużyn przyglądać się będzie publiczność, a konkurencje oceni profesjonalne jury. Mistrzostwa realizowane w dwóch kategoriach: Mistrzowie Sieci i Mistrzowie Instalacji. W kategorii Mistrzowie Sieci zmierzą się zespoły z 5 drużyn OSD (Energa-Operator, Tauron Dystrybucja, PGE Energetyka Kolejowa Operator, Stoen, PGE Dystrybucja).

eprasa.pl 9ba1bacde5

Polska
Poniedziałek, 23.02.2026

ZOFIA WICHŁACZ: NADAL JESTEM W ŻYCIU WRAŻLIWĄ OSOBĄ I NIGDY SOBIE TEGO NIE ODBIORĘ

Zachwyciła nas rolą „Biedronki" w „Mieście 44". Potem oglądaliśmy ją w zagranicznych serialach „Świat w ogniu" i „DNA". Dziś na ekrany trafia film „Zima pod znakiem wrony", w którym powraca z ważną rolą na duże ekrany. Nam zdradza, jaka jest cena aktorskiego debiutu, kiedy jest się nastolatką

Paweł Gzyl

Od początku swej kariery grasz generalnie w samych ambitnych produkcjach. Trudno tak kierować karierą aktorską w Polsce?
Zawsze szłam za swoimi wyborami. I to się u mnie przez lata nie zmieniło. A pracuję już trzynasty rok. Cieszę się, że zauważyłeś, iż moja filmografia tak wygląda, bo to w sumie jest mój cel – w miarę możliwości grać w ambitnych produkcjach. Oczywiście czasem trzeba coś zrobić, bo musisz zapłacić rachunki. Staram się jednak szukać dobrej jakości, skupiam się na tym i marzę o występach w kinie artystycznym, mniej mainstreamowym. Mam nadzieję, że dalej będzie to szło w tę stronę.

Co decyduje o tym, że ubiegasz się o jakąś rolę?
Kiedy przychodzi zapytanie o casting, to tam jest najczęściej opis projektu. Jeśli po przyjrzeniu się temu, wydaje mi się, że to nie dla mnie, daję sobie jeszcze szansę i czekam na scenariusz. Po jego przeczytaniu, wiem już na pewno czy ta historia i postać, którą mam zagrać, do mnie przemawiają. Interesują mnie wyłącznie złożone, autentyczne bohaterki. I to można od razu wyczuć w scenariuszu czy postać jest ciekawym punktem odniesienia czy tylko tłem opowieści. Jeśli uznam, że dana bohaterka jest ważna w tej historii, to decyduję się zawalczyć o rolę. Dopiero potem patrzę czy dana postać jest bliska mnie, czy raczej jest po drugiej stronie osi. Generalnie w sferze moich zainteresowań jest kino niezależne i artystyczne.

Co zobaczyłaś w postaci Aliny Wachowiak z „Zimy pod znakiem wrony", że zechciałaś ją zagrać?
To było bardzo ciekawe, jak ta propozycja do mnie trafiła. Byłam wtedy na drugim roku studiów psychologii. Dzwoni telefon i moja agentka mówi, że jest taki projekt, którego jedną z bohaterek jest… doktorantka psychiatrii. Uśmiechnęłam się – i pomyślałam, że to może być coś dla mnie. W tamtym momencie skupiałam się na studiach i nie zakładałam dużo pracy na planie. Poszłam więc na ten casting i scena, którą miałam do zagrania, bardzo mnie poruszyła. Przyciągnęło mnie również to, że znów będę miała okazję do grania po angielsku, bo bardzo to lubię. Potem jak przeczytałam scenariusz, postać Aliny bardzo mi się spodobała, bo jest niejednoznaczna, skomplikowana, jest w niej dużo różnych emocji. To mocna bohaterka, walczy o swoje, buntuje się, ma w sobie dużo złości. Właśnie takie role mnie przyciągają.

Alina jest zaangażowaną studentką doby stanu wojennego. To pokolenie twoich rodziców. Rozmawiałaś z nimi o tamtych czasach?
Tak. Moja mama też była w 1981 roku taką studentką i bardzo aktywnie brała udział w działaniach antykomunistycznych. Kiedyś opowiedziała mi ciekawą historię. Gdy studiowała architekturę na politechnice we Wrocławiu, pierwszy wykład po tym, jak przywrócili zajęcia, mieli z wykładowcą, który był totalnym komuchem. I wszyscy założyli na ten wykład… czarne przeciwsłoneczne okulary. (śmiech) On wszedł – i strasznie się wkurzył. Mama miała też przygody rodem z kina sensacyjnego. Raz przewozili ze znajomym powielacz i on z tym powielaczem musiał jechać pociągiem, a ona ścigać się z pociągiem maluchem i odebrać znajomego z dalszej stacji, bo miasto było obstawione milicją. Tego typu historie były w moim domu i to było szalenie ciekawe czerpać z tego.

Alina odważnie angażuje się w sprzeciw wobec stanu wojennego. Jej motywacje były ci bliskie?
Tak, bo te motywacje są uniwersalne. Zawsze przed wejściem na plan myślę nad postacią i zadaję sobie pytanie czym ona żyje. Oczywiście czasy i epoka, w której funkcjonuje, również składają się na jej motywacje i trzeba je brać pod uwagę. Ale najważniejsze jest dla mnie, tak czysto po ludzku, czego ona pragnie od drugiego człowieka, czego wymaga od siebie. Między innymi takie pytania zadałam sobie też co do Aliny.

Film pokazuje, że byli i tacy, którzy współpracowali z totalitarną władzą. Potrafisz ich też zrozumieć?
Studiuję już czwarty rok psychologię i chyba już zawsze będą we mnie pytania o naturę człowieka. Dlaczego robi takie rzeczy, jakie robi. Kiedy miałabym do czynienia z osobą, której czyny są moralnie naganne, to po jakimś początkowym szoku, na pewno zadałabym sobie pytania o jej motywacje i próbowałabym ją zrozumieć. Na tym polega zawód aktora. Jeśli masz zagrać zabójcę, to musisz sobie zadać pytania o mechanizmy, które nim kierują.

„Zima pod znakiem wrony" to twój kolejny film z reżyserką Kasią Adamik. Łączy was dobre porozumienie?
Zrobiłam z Kasią jeden z moich pierwszych profesjonalnych projektów. Miałam chyba siedemnaście lat, kiedy zagrałam w jednym z odcinków „Głębokiej wody", który reżyserowała. Potem był „Amok", „Pokot" i serial „1983". Rzeczywiście trochę tego jest. (śmiech) Dzisiaj, kiedy mamy razem pracować, jesteśmy pewne siebie, że to będzie dobra współpraca. Tutaj spodobała mi się rola i scenariusz, a kiedy dowiedziałam się, że to Kasia będzie reżyserować, ucieszyłam się dodatkowo, bo wiedziałam, że to jest dobra osoba do tego projektu. I tak było.

Twoją główną partnerką jest w „Zimie" ceniona brytyjska aktorka Lesley Manville. To było dla ciebie inspirujące spotkanie?
Bardzo. Spotkałyśmy się już wcześniej na planie brytyjskiego serialu „Świat w ogniu". W drugim sezonie miałyśmy duży wspólny wątek – moja bohaterka Kasia jest jej synową i ląduję w jej domu w Anglii w czasie II wojny światowej. To było dla mnie ciekawe spotkanie, bo po obejrzeniu „Nici widmo" byłam absolutnie zakochana w jej aktorstwie. Przy „Zimie" wpadłyśmy więc sobie trochę w ramiona. (śmiech) Leslie chyba ucieszyła się na mój widok tak, jak ja na jej. I było fajnie – bo te nasze wspólne sceny są tym, co najbardziej lubię w pracy z drugim aktorem. Czyli jakimś uważnym słuchaniem siebie nawzajem, jakąś wymianą energii, intymnością. Czymś ważnym do opowiedzenia, gdzie jest czas na emocje, a nie tylko popychaniem akcji do przodu. My mamy w filmie takie momenty i jestem z tego bardzo szczęśliwa.

Powiedziałaś, że ucieszyłaś się, iż będziesz mogła w „Zimie" zagrać po angielsku. Z czego to wynika?
Po moim pierwszym filmie, odezwała się do mnie menedżerka ze Stanów i zmotywowała mnie do pracy nad akcentem po angielsku. Włożyłam więc dużo pracy w to, aby móc w razie potrzeby podkreślić polski akcent lub przeciwnie – wygładzić go. Przy pracy nad „Światem w ogniu" ktoś inny z kolei uczył mnie co zrobić, by ten akcent był mocno polski, ale z zalążkiem brytyjskiego, bo moja bohaterka mieszkała w Anglii. Dlatego też dzisiaj czasem czuję się bardziej organicznie, kiedy mam grać po angielskie niż po polsku. (śmiech) W sumie nie wiem z czego to wynika i będę to w sobie obserwować. Cieszę się jednak, że mogłam w polskim filmie zagrać po angielsku, bo takie scenariusze są rzadkie.

Na twoim profilu na Filmwebie ktoś napisał o twym występie w „Zimie pod znakiem wrony": „Najlepsza rola Zosi Wichłacz w karierze". Zgadzasz się z tą opinią?
To oczywiście bardzo miłe. Fajnie by było, gdyby były tylko same takie opinie. (śmiech) Filmweb trochę mnie jednak przeraża, bo jego moderatorzy nie dbają za bardzo o to, aby czyścić sekcję komentarzy z takiego typowego hejtu. A wiadomo – moja rola może się jednej osobie spodobać, a drugiej nie. I wtedy jest gorzej. Jeden komentarz może być taki jak ten, który zacytowałeś, a drugi może mnie całkowicie zmieść z planszy. I nie mam na to żadnego wpływu. Nie skupiam się więc na tym. Ja przede wszystkim chcę mieć czyste sumienie: że pracując nad rolą, zrobiłam wszystko jak najlepiej potrafiłam w tym danym momencie. Jasne, kiedy się zasypia po dniu zdjęć, zawsze się myśli: „Tu bym coś poprawiła. I tu też. Ale nie było czasu". Mówię sobie wtedy: „Zrobiłaś co mogłaś w danym momencie". Nigdy nie było tak, że przyszłam na plan i miałam wywalone. Wtedy bym się czuła źle.

Twoja mama jest architektką, ale pracowała też jako scenografka, a tata jest operatorem filmowym. To było naturalne, że zainteresowałaś się kinem i teatrem?
Na pewno. Byłam często zabierana do teatru, kiedyś kręcono nawet film w naszym mieszkaniu. Wtedy poczułam, że to coś dla mnie.

Tata podobno uświadamiał ci jednak, jak niewdzięcznym zawodem jest aktorstwo. Nie zniechęciło cię to?
Wtedy byłam nastolatką z wielkimi marzeniami. Kto kiedyś próbował do czegoś zniechęcić nastolatkę, to wie, że ona i tak znajdzie sobie drogę, aby zrobić to, co chce zrobić, aby przekonać się na własnej skórze czy ci, którzy ją ostrzegali, mieli rację. I ja też tak zrobiłam.

W wieku dwunastu lat trafiłaś do ogniska teatralnego państwa Machulskich. Już wtedy wiedziałaś, że będziesz chciała zostać aktorką?
Tak. Pamiętam, jak Janek Holoubek przyszedł do nas, aby zorganizować casting do filmu „Rojst", który chciał wtedy nakręcić. I ja wygrałam ten casting – miałam być tą samą nastoletnią bohaterką, która w serialu Netflixa popełnia samobójstwo. Ale wtedy ten film nigdy nie powstał. Kiedy jednak Janek po latach realizował serial „Rojst", zaangażował mnie do innej, „dorosłej" już roli. (śmiech) A tamten wygrany casting w ognisku Machulskich utwierdził mnie, że chcę dalej próbować, rozwijać się aktorsko.

Po maturze dostałaś się do stołecznej Akademii Teatralnej i zrezygnowałaś po roku. „Zdrowie psychiczne jest ważniejsze niż dyplom" – powiedziałaś potem. Było aż tak źle?
W tamtym momencie podjęłam taką decyzję - i jej nie żałuję.

Dziś wielu aktorów filmowych robi kariery bez szkoły teatralnej. To już nie ma u nas znaczenia?
Po latach, kiedy poczułam potrzebę jakiegoś rozliczenia, postawiłam sobie pytanie czy nie żałuję, że zrezygnowałam ze studiów. Co by było, gdybym nie zadebiutowała jako nastolatka w dużym filmie, tylko po liceum bez żadnych doświadczeń na planie poszła do szkoły, skończyła ją i zaczęła karierę dopiero w wieku 25-26 lat? I stwierdziłam, że na pewno byłoby zupełnie inaczej. Dziś jednak tego już nie zmienię. Robiłam jak umiałam najlepiej i podejmowałam takie wybory, które wydawały mi się najsłuszniejsze. Dlatego

eprasa.pl 9ba1bacde5

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zofia Wichłacz: Przede wszystkim chcę mieć czyste sumienie: że pracując nad rolą, zrobiłam wszystko jak najlepiej potrafiłam w tym danym momencie

niczego nie żałuję i czuję się dobrze z tym, jak wygląda moje życie i kariera. Jeśli ktoś patrzy na mnie przez pryzmat tego, że nie mam dyplomu i dlatego nie da mi jakiejś roli – to trudno, biorę to na klatę. Biorę pełną odpowiedzialność za tę decyzję, którą podjęłam mając 20 lat. Nie mam jednak wpływu na to, co inni przez to o mnie myślą.

Poznaliśmy cię wszyscy dzięki roli w pamiętnym „Mieście 44". Zagranie w takim filmie dla nastolatki przed maturą to było wielkie przeżycie?
Oczywiście. To było wtedy na pewno ponad moje siły. Długo to odchorowywałam. Z perspektywy czasu widzę, że to przyszło za szybko.

Przyznałaś kiedyś, że występ w „Mieście 44" przypłaciłaś terapią. Z czego to wynikało?
A jak mogło się skończyć dla osiemnastolatki to, że przez kilka miesięcy na planie grała skrajnie ciężkie dla niej psychicznie i fizycznie emocjonalnie sceny?

Dostałaś za rolę Biedronki w „Mieście 44" nagrodę dla najlepszej aktorki na festiwalu w Gdyni – chyba jako najmłodsza w jego historii. To nie dodało ci skrzydeł?
Niby tak. Ale z perspektywy czasu wiem, że dla nastolatki, którą wtedy byłam, to było strasznie trudne do udźwignięcia. Wręcz niemożliwe. Gdybym teraz dostała taką nagrodę w wieku trzydziestu lat, to zupełnie inaczej bym się czuła. Gdybym teraz zadebiutowała i wkroczyła w świat kina z obecną moją dojrzałością i zasobami dorosłej kobiety. Tymczasem, choć metrykalnie dorosła, byłam wtedy w świecie filmu naiwnym „dzieckiem" z ideałami i weszłam w świat dorosłych, którego zasad kompletnie nie znałam. Próbowałam w tym na bieżąco z doskoku się odnaleźć, ale to był ogrom stresu. Z boku to może tak wyglądać: dostała nagrodę, więc ogromny sukces i uznanie. A niestety, wielokrotnie spotkały mnie przykre sytuacje, kiedy ludzie chcieli sprawić, abym poczuła, że nie zasłużyłam na ten sukces. Miałam dziewiętnaście lat i chłonęłam jak gąbka wszystko to, co się wtedy wydarzało, nie umiałam się bronić tak, jak teraz umiem po latach. Taki start za młodu ma więc swoje koszty. To nigdy nie jest takie, jak wygląda z zewnątrz. Teraz jestem jednak już w innym miejscu. Mam trzydzieści lat i cieszę się, że mam dobrą rolę na koncie.

Odskocznią od tej tematyki wojennej był dla ciebie chyba dopiero „Amok". Powiedziałaś o tym filmie: „W „Amoku" zagrałam najbardziej złożoną rolę". Na czym to polegało?
Powiedziałam to pewnie w okolicy premiery tego filmu, kiedy miałam wtedy 21 lat. Od tamtej pory bardzo się rozwinęłam i zrobiłam wiele innych rzeczy. Dzisiaj uważam, że w „Amoku" byłam za młoda i nie do końca sobie poradziłam z tą rolą. Biorę to jednak również na klatę. Takie mam refleksje. Dziś w ogóle nie powiedziałabym o żadnej roli, że była najbardziej złożona w mojej karierze, bo obecnie nie lubię wydawać takich czarnobiałych osądów.

W międzyczasie zaczęłaś grać za granicą. Wystąpiłaś w brytyjskim serialu „Świat w ogniu" i duńskim „DNA". To były bardzo inne doświadczenia niż praca na polskich planach?
Odpowiem anegdotą. To śmieszne, jak czasem są różne cateringi na planie. Najlepsze jedzenie, jakie w życiu jadłam podczas kręcenia filmu, było we Francji. Miałam tam dwa dni zdjęciowe do duńskiego serialu „DNA". I trudno opisać ile tam było opcji: obiad z kilku dań, jakieś niestworzone desery, przeróżne smakołyki. Z kolei najgorszy catering był wcale nie w Polsce, gdzie często bardzo dobrze karmią na planach, ale w Irlandii Północnej. (śmiech) Kręciliśmy w Belfaście – i tego, co tam wtedy podali, po prostu nie dało się jeść. (śmiech)

Mówiąc o tych zagranicznych występach, stwierdziłaś: „Na wyjazdach czuję większą swobodę". Co to oznacza?
Tak było. Pracowałam bowiem z ludźmi, którzy nie znali moich polskich dokonań i postrzegali mnie tylko poprzez wygrany casting do roli. Potem na planie udowadniałam ponownie, że jestem dobra i dostawałam od nich feedback, że jest super i że to działa. W Polsce musiałam tymczasem na początku swej kariery walczyć z zaszufladkowaniem mnie jako wojennej, delikatnej i wrażliwej dziewczyny. Oczywiście dalej jestem w życiu wrażliwą osobą i nigdy sobie tego nie odbiorę, ale nie chcę być postrzegana tylko w tym kontekście. Ludzie jednak łatwo szufladkują – to dobrze opisane w psychologii różne mechanizmy, ale wszystkie łączy to, że nasze mózgi po prostu mniej się męczą, kiedy szybko kogoś ocenimy i będziemy się tego trzymać. Tymczasem, kiedy wyjeżdżałam za granicę i pracowałam z ludźmi z różnych stron świata, było to szalenie fajne, bo oni mnie nie rozpatrywali przez pryzmat „Miasta 44". Przyjmowano mnie z otwartymi ramionami, ponieważ wywalczyłam sobie na castingu rolę i sprawdzałam się na planie. Dobrze nam się pracowało i czułam, że nie jestem oceniana przez żaden wcześniejszy występ.

Te występy w „Świecie w ogniu" czy w „DNA" rozwinęły cię aktorsko?
Zdecydowanie. Ciężko pracowałam na planie tych seriali i włożyłam w nie dużo serca. Dostałam też świetne recenzje w brytyjskich gazetach. Czułam też prestiż, że robię coś międzynarodowego, o czym wcześniej zawsze marzyłam. Bardzo mnie to rozwinęło.

Walczysz nadal o role na Zachodzie?
Tak. Ale spokojniej już, bo dużo rzeczy mi się przewartościowało. Poszłam też na dziennie studia – wspomnianą psychologię. Nie chcę więc już robić filmu za filmem. Już wiem, że życie nie na tym polega. Mam inne marzenia i aspiracje.

A skąd ten pomysł na tę psychologię?
Zawsze mnie to kręciło i z czasem stało się pasją, którą postanowiłam profesjonalnie rozwinąć. W pewnym momencie zauważyłam, że jest w social mediach wysyp pseudoekspertów od tej tematyki. Miałam w tym czasie podobne pomysły, choćby na jakiś podcast, ale stwierdziłam, że nie chcę być aktorką, która mówi o psychologii, a w sumie nie zna się na tym, bo nie skończyła studiów i nie ma żadnego dyplomu. Nie interesowało mnie też zrobienie jakiegoś dwutygodniowego kursu, by potem wciskać ludziom kit, że mam prawo mówić o tym, jako ekspertka. Zakasałam więc rękawy i poszłam na studia. Bardzo się teraz z tego cieszę.

Ta wiedza z psychologii przydaje ci się dziś w pracy aktorki?
Oczywiście. W aktorstwie to pewien rodzaj pogłębionego kombinowania psychologicznego przy budowaniu postaci. Ale to generalnie moja nowa wielka pasja, a nie jakieś przelotne zainteresowanie. I coś, co będę chciała kiedyś robić profesjonalnie. Nie wiem jeszcze dokładnie, co to będzie, bo nie mam tego jeszcze sprecyzowanego. Wiem jednak, zwłaszcza teraz na magisterium z neurokognitywistyki (to specjalność integrująca m.in. psychologię poznawczą, neurobiologię i neuropsychologię), że jest wiele możliwych ścieżek rozwoju po psychologii. Ludziom się kojarzy, że kiedy ktoś skończył takie studia, to musi być terapeutą. Nic bardziej mylnego. Można robić milion innych rzeczy, zwłaszcza po neurokognitywistyce, która jest dla mnie szalenia ciekawa. Odkryłam bowiem, że uczenie się czegoś, co jest dla mnie kompletnie z innej bajki, ma elementy fizyki czy biologii, choć w liceum ledwo zdawałam z tych przedmiotów, to na studiach mnie pasjonuje i daję sobie z tym radę. Rozumiem to i chcę to zgłębiać. Strasznie się więc jaram tym, że mam tę drugą drogę. Oczywiście chcę to łączyć z aktorstwem. Nauka o mózgu bardzo mnie jednak kręci i chcę mieć na nią miejsce w swym życiu.

Nie obawiasz się, że ucierpi na tym twoja aktorska kariera?
Uważam, że kiedy wiesz czego chcesz, to wszystko jest do pogodzenia. Jeśli zakocham się w jakimś scenariuszu, to mogę przecież wziąć dziekankę. A kiedy nie będę miała wystarczająco ciekawych ofert aktorskich – to dokończę na spokojnie studia. Nie żyję więc w jakimś lęku, że teraz coś stracę. Idę za czymś, co mnie kręci i niesamowicie mnie spełnia. Ale chcę dalej grać. I wiem, że we współczesnym świecie będzie to do pogodzenia. Ufam w tej kwestii swojej intuicji.

Zostaje jeszcze życie prywatne. Kiedyś powiedziałaś: „Trzeba dbać o życie poza planem, bo ono jest równie ważne co praca". Jak sobie z tym radzisz?
Dziś powiedziałabym, że życie prywatne jest absolutnie ważniejsze niż praca. Tak mi się to przewartościowało.

Co spowodowało to przewartościowanie?
Nie chcę wchodzić tu w szczegóły, bo to już jest moje życie prywatne. (śmiech) Ale mogę ci powiedzieć, że kiedy nad sobą pracujesz, a jestem akurat w procesie rozwojowym, w terapii, mam trzydzieści lat, robię różne podsumowania, to zauważa się, że kiedy za dużo się pracuje, to nie ma się czasu na to czy na tamto. Jeśli robiłabym teraz film za filmem, to nie poszłabym na studia, nie zbudowałabym związku, nie miałabym czasu dla siebie, na swoje mniejsze pasje, czy nawet na długi spacer z psem. Złapałam się na tym w odpowiednim momencie już dobrych kilka lat temu. Jako trzydziestolatka wiem już z doświadczenia, że nie chwycę wszystkich srok za ogon, bo to niemożliwe. Moje priorytety na dziś to moje życie osobiste, moja rodzina, dopiero potem studia i praca.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ GZYL

eprasa.pl 9ba1bacde5

NOC PRZED WAŻNYM MECZEM

Najlepszy piłkarz spotyka się z najlepszym trenerem polskiej reprezentacji. O czym mogą rozmawiać? Paradoksalnie, futbol jest tu tylko pretekstem. W telewizyjnym spektaklu „Ezi" padają pytania, na które odpowiedzi wcale nie muszą być łatwe i oczywiste

Grzegorz Olma

FOT. TVP/PRZEMYSŁAW JENDROSKA

Jest rok 1974, Kazimierz Górski po raz pierwszy od 36 lat wprowadza Polskę do światowej piłkarskiej elity. Zbigniew Zamachowski w roli trenera Górskiego

Są niemal rówieśnikami, dzieli ich raptem 5 lat. Co to za różnica, gdy się przekroczyło pięćdziesiątkę. W tym wieku to już równolatkowie o podobnych życiorysach, doświadczeniu, pasjach.

Łączy ich piłka. Żyją nią, oddychają, czują niemal każdym kawałkiem ciała i dodatkowym zmysłem, a może zmysłami, dzięki którym obaj przeszli już do historii.

Ten starszy był już legendą, idolem, bohaterem światowych mediów, dowodem, że na piłkarskim boisku praktycznie nie ma ograniczeń i wszystko jest możliwe.

Kiedy jego sportowa kariera dopiero się rozpędzała i zdawała się wystrzeliwać w kosmos popularności, życiowe wybory i bezwzględna historia zepchnęły go do piekła zapomnienia.

Ogień dziejów wypalił go na białą, a może szarą plamę. W momencie spotkania jest cieniem samego siebie.

Ten ciut młodszy, choć przecież też pięćdziesięciolatek z okładem, właśnie legendą się staje. Od kilku lat jest na ustach sportowego świata, zachwyca znawców, inspiruje dziennikarzy i komentatorów, rozpala emocje kibiców, rzuca prostymi zdaniami, które jako bon moty stają się nieśmiertelne. Polską narodową reprezentację prowadzi od czterech lat. Dwa lata wcześniej zdobywa z nią olimpijskie złoto. Po legendarnym remisie z Anglikami na Wembley trafia do finału mistrzostw świata w piłce nożnej, gdzie jego drużyna urzeka świeżością.

Jest rok 1974, Kazimierz Górski po raz pierwszy od 36 lat wprowadza Polskę do światowej piłkarskiej elity.

Po raz ostatni na mistrzostwach świata w futbolu Polacy grali w 1938 roku. Wtedy gwiazdą polskiej reprezentacji, o której mówił świat, był Ernest Wilimowski. 22-letni młodziak na boisku robił, co chciał. Kiedy wchodził na murawę, w nogach wyrastały mu skrzydła. Bo czy bez nich w jednym ligowym meczu mógł strzelić 10 bramek? Czy bez tego nieziemskiego wspomagania dałby radę aż cztery razy pokonać bramkarza Brazylii w tym wyjątkowym 1938 roku w Paryżu? Polska przegrała ten mecz jedną bramką, ale cztery gole do siatki Brazylijczyków wpakował Ezi. Chłopak, który zanim stał się mężczyzną, został legendą piłki. I wtedy, i teraz nikt nie ma wątpliwości, że był najlepszym piłkarzem w historii Polski. Tak jak nikt nie ma wątpliwości, że Kazimierz Górski był polskim selekcjonerem wszech czasów.

Pod koniec lat 30. Wilimowski jest idolem Górskiego. Kilkunastoletni Kazik, który kopie piłkę w lwowskim klubie, zachwyca się grą Eziego.

- Z drzewa na stadionie Pogoni Lwów oglądałem jego popisy. Wspinałem się na konar, żeby lepiej widzieć. Był niesamowity, potrafił przedryblować kilku rywali, położyć na murawie bramkarza i jeszcze tuż przed linią bramkową poczekać, aż wszyscy się pozbierają, po czym strzelał piętą do siatki. Miał przy tym szelmowski uśmiech na twarzy - wspominał w jednej ze swoich książek.

W latach 70. role się odwracają, to Wilimowski z podziwem patrzy na wyczyny Górskiego i jego „Orłów". Nie ma w nim młodzieńczej euforii, ale jest respekt profesjonalisty wobec dokonań kolegi po fachu. Szacunek dla wiedzy, kunsztu, umiejętności.

Jak wspominał Kazimierz Górski, w czasie pamiętnych mistrzostw świata w Monachium miało miejsce krótkie, jedyne face to face, spotkanie obu piłkarzy. Gdzieś w okolicach hotelowej recepcji, na stojąco albo siedząco w fotelach w holu mieli zamienić raptem kilka zdań.

Ta przelotna, być może konwencjonalna rozmowa, zainspirowała Roberta Talarczyka do napisania tekstu rozpisanego na dwóch bohaterów. Spektakl „Ezi" to brawurowo zagrane spotkanie Ernesta Wilimowskiego (którego gra Andrzej Chyra) i Kazimierza Górskiego (w tej roli Zbigniew Zamachowski). Tu futbol jest tylko pretekstem.

Gdy się ma ponad 50 lat, zaczynając dyskusje o piłce, zazwyczaj wcześniej niż później dojdzie się do egzystencjalnych pytań. Szczególnie wtedy, gdy rozmówców tak wiele łączy.

Piłka, wiadomo. Ale obaj to swego rodzaju wygnańcy, uchodźcy, zmuszeni do opuszczenia swej ojcowizny, heimatu, w którym mają się bezpiecznie, swojsko, za którym tęsknią i który w nich ciągle siedzi.

Dla Ernesta to Górny Śląsk, Katowice, które brzmią niemal tak samo, bez względu na zapis w polskim czy niemieckim języku. Dla Kazimierza to Lwów i Kresy. Jeden z nich godo, drugi bałaka. W tych językach ulicy czują się najlepiej.

Każdy z nich ma swoje tajemnice.

- Grałem dla Ruskich - wyznaje Górski.

Rzeczywiście, po zajęciu Lwowa przez Sowietów w 1939 roku, przez dwa lata występuje w miejscowym Spartaku. Od 1944 roku w Dynamie, klubie należącym do znienawidzonego NKWD. Ma jednak szczęście, jest za słaby, by zagrać w reprezentacji ZSRR.

Do opuszczenia rodzinnych miejsc zmusiła ich obu historia. Wojna, która pochłonęła miliony istnień ludzkich, zdruzgotała też życiorysy niektórych z tych, którzy przeżyli. Wśród nich jest Wilimowski.

Przedwojenny narodowy bohater, noszony na rękach i wywołujący euforię wśród kibiców piłkarz, który z orzełkiem na piersi rozegrał 22 międzynarodowe mecze i strzelił przeciwnikom 21 bramek.

Chwilę po wybuchu wojny zmienia piłkarską koszulkę i zakłada tę z czarnym orłem. W reprezentacji III Rzeszy strzela bramki dla kibiców ze swastykami na ramionach i „dla Hitlera". Takich meczów rozegra osiem, zdobędzie w nich 13 goli. Ale za taki wybór czeka go dożywotnia niesława, zapomnienie i ciążące miano „zdrajcy".

- My tu jesteśmy w Polsce, Armia Krajowa, walka podziemna, a on sobie tam gra w barwach niemieckich. A więc słowo „zdrajca" nie jest całkowicie nie na miejscu, ale niełatwo rzuca się to słowo - mówił o nim przed laty Bohdan Tomaszewski, znakomity dziennikarz, komentator, znawca sportu.

Z perspektywy Warszawy łatwo o jednoznaczne opinie. Tomaszewski ma rację, równolatkowie Eziego, który w 1939 roku miał 23 lata, kilka lat później ginęli w Powstaniu Warszawskim, konspirowali, walczyli z okupantem. Ale oni nie mieli wątpliwości, byli, czuli się, jednoznacznie identyfikowali się Polakami. A Ezi?

Ernst Otto Pradella urodził się w 1916 roku, w środku I wojny światowej w Kattowitz. Jego ojciec jest nieznany, prawdopodobnie zginął na froncie. Matka to Niemka, Pauline Florentine Pradella, która 13 lat później z panieńskim synem u boku wychodzi za mąż za Romana Wilimowskiego, Polaka, urzędnika, powstańca śląskiego. Ojczym usynawia go, daje nazwisko i zmienia imię. Nastolatek z Ersta staje się Ernestem, choć i tak wszyscy nazywają go Ezi. W domu mówi się po niemiecku, polsku i śląsku.

Zaczynał swoją karierę w 1FC Katowice, klubie Niemców ze Śląska. W 1933 roku przeszedł do polskiego Ruchu Hajduki, gdzie miał lepsze warunki. To w tym klubie stał się żywą legendą. W Polsce szybko upadłą i przemilczaną, bo jeszcze jesienią 1939 roku zaczął grać w niemieckich klubach. Rok później wyjechał ze Śląska. Przyjmuje powołanie do reprezentacji III Rzeszy.

Po wojnie osiadł w Karlsruhe. Zawodowo gra w piłkę do końca lat 50. Na dobre schodzi z boiska mając 43 lata. Umiera w 1997 roku. Do Polski nigdy nie przyjechał. Podobno - jak wyznał Górskiemu - bał się.

W spektaklu to pytanie mocno wybrzmiewa: kim był? Niemcem, Polakiem, kimś pomiędzy? O sobie mówił Górnoślązak. Dziś stosujemy jeszcze dodatkową gradację: Górnoślązak z ducha polskiego albo niemieckiego. Możliwości jest aż pięć. W którą z nich wpisałby się Wilimowski?

- Dla mnie, zarówno jako aktora, jak i obserwatora życia, kontrowersyjne postaci są najciekawsze. W tych złamanych, nieoczywistych życiorysach, w tych skrajnych opiniach, od superlatywów do najgorszych obelg kryje się tajemnica losu, szczęścia i całej złożoności świata - mówił tuż po przedpremierowym pokazie spektaklu Andrzej Chyra.

Pokaz miał miejsce w najlepszym z możliwych miejsc: na Stadionie Śląskim w Chorzowie, na granicy z Katowicami, niemal rzut piłką od znikającego właśnie dawnego stadionu Ruchu, na którym Ezi był idolem.

- Kiedy poznałem ten życiorys, tę postać, to zrozumiałem, że jest to bohater, który wpisuje się w moje aktorskie emploi. Kogoś, kto nie jest jednoznacznie nasz albo nie-nasz. To bohater i antybohater zarazem - mówi Chyra.

- Ten spektakl to także głos w sprawie Śląska, jego tożsamości, która dziś politycznie, z niezrozumiałych dla mnie powodów, jest szastana, miotana i traktowana w sposób bardzo przedmiotowy. Podczas gdy dla wielu osób jest ich istotą, ich sensem, tożsamością, duma i żal. Tym wszystkim razem. To głos Polaków, którzy są nie do końca Polakami z krwi i kości. To ważna rzecz, by tę naszą sztywną polskość rozbijać i pozwolić nam traktować wszystkich mieszkających na tych terenach jako równoprawnych. Mniej jest ważne, kto jest Polakiem, a kto kimś innym. Ta perspektywa spotkania człowieka z człowiekiem coraz bardziej nam ucieka, bo jesteśmy poddawani ciągłym kategoryzacjom i dzieleniu nas. Myślę, że właśnie ta historia trochę zbliży nas do siebie - kontynuował odtwórca Eziego.

Obecny na pokazie Wojciech Smarzowski, reżyser takich obrazów jak „Wesele", „Róża" czy „Dom dobry", mówił po projekcji, że ten temat zasługuje na film, ma potencjał, by wyjść poza kameralny dialog.

Wilimowski przez szereg powojennych lat był wygumkowywany, wstydzono się go, usuwano z oficjalnych statystyk, starano się przemilczać i wspominano o nim z konieczności.

Teraz, po wielu latach, powraca do historii nie tylko piłki nożnej. Można dyskutować, jakich wyborów dokonywał, nie zgadzać się z nimi i je kwestionować, ale nie można udawać, że nie istniał. Telewizyjny spektakl być może znów rozpali emocje wokół tożsamości, zresztą nie tylko śląskiej, płynnej, zmiennej i nieoczywistej identyfikacji narodowej. Postawi pytania o wybory w momentach krytycznych, w momentach próby. Tych pytań, które rodzą się, słuchając rozmowy dwóch sportowców przemielonych przez żarna historii, jest dużo więcej. Odpowiedzi na nie mogą być trudne, zniuansowane, niejednoznaczne. I dlatego warto te pytania stawiać, konfrontować się z nimi, trawić je w sobie.

Spektakl „Ezi" autorstwa Roberta Talarczyka, w reżyserii Janusza Zaorskiego i z udziałem Andrzeja Chyry oraz Zbigniewa Zamachowskiego pokaże TVP 1 w poniedziałek, 23 lutego, o godzinie 20.30

eprasa.pl 9ba1bacde5

Znienawidzona milicyjna formacja PRL

80 lat temu, 21 lutego 1946 r., została powołana do życia Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej, masowa paramilitarna organizacja mająca wspierać „władzę ludową”

Mariusz Grabowski

W szczytowym okresie PRL-u ORMO liczyła 400 tys. ludzi. Ale zacznijmy od początku. Zgodnie z zarządzenia ministra bezpieczeństwa publicznego z 22 lutego 1946 r. w szeregi ORMO przyjmowano osoby w wieku od 18 do 45 lat, posiadające obywatelstwo polskie. Służba w formacji była bezpłatna i jednoznacznie kojarzona z komunistyczną władzą – jej szeregi zasilali w większości członkowie Polskiej partii Robotnicze, a po 1948 r. PZPR jak również sojuszniczych Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Ormowcy mieli pilnować porządku na „dole” struktur społecznych.

W początkowym okresie Polski Ludowej ORMO podporządkowana była bezpośrednio Milicji Obywatelskiej. Już od marca 1946 r. terenowe jednostki ORMO razem z oddziałami Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i MO podporządkowane były wojewódzkim komisjom bezpieczeństwa podległym Państwowej Komisji Bezpieczeństwa.

Członkowie ORMO byli silnie zideologizowani, zwłaszcza w pierwszych latach istnienia formacji. Ale i później była ona ściśle podporządkowana lokalnemu aparatowi PZPR. W późnych latach 50. jej działalność osłabła, aż do roku 1968, kiedy to PZPR użyła tzw. „aktywu robotniczego” do pacyfikacji demonstracji studenckich.

„Czystość klasowa”

Historycy nie są zbyt łaskawi dla ORMO i roli, jaką odegrała w historii powojennej Polski. Uważają ją za element aparatu represji, którego idea i cel pojawiła się w referacie Władysława Gomułki wygłoszonym na plenum KC PPR 10 lutego 1946 r. Gomułka stwierdził, że z uwagi na to, że siły aparatu bezpieczeństwa są za szczupłe, a na ich rozbudowę nie ma pieniędzy, Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej musi znacząco wspomóc aparat represji.

Tomasz Pączek w rozprawie „Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej w latach 1946-1989: rozwój organizacyjny i rola w aparacie represji PRL” pisze wprost, że „ORMO miała zapewnić większą »czystość klasową«, a tym samym lojalność wobec PPR, dlatego miała być budowana przez organizacje partyjne. Nie ukrywano również, że ma być użyta do »utrwalenia władzy ludowej«. Wiele wysoko postawionych w państwie i partii osób o tym jawnie mówiło”.

Jej zadania określono w trzech punktach: wzmacnianie szeregów Milicji Obywatelskiej przy zwalczaniu bandytyzmu, rabunku i innych przestępstw; udzielanie pomocy organom MO i „przygotowanie rezerw dla uzupełnienia szeregów MO w celu utrzymaniu spokoju i porządku publicznego”.

Kwiat narodu

Jak w Polsce pod koniec lat 40. zostawało się ormowcem? Kandydat na ormowca musiał się być w wieku 18-45 lat, posiadać obywatelstwo polskie oraz „nieskazitelną przeszłość i postawę demokratyczną”. W praktyce oznaczało to, że akceptował „rzeczywistość polityczną”, która nastała w Polsce po 1945 r.

W celu przyjęcia do ORMO powołano komisje kwalifikacyjne w składzie: komendant ds. ORMO, przedstawiciel urzędu bezpieczeństwa publicznego, przedstawiciel komendy MO. Kandydatów na ormowców mogły zgłaszać partie polityczne i organizacje młodzieży demokratycznej, ale też związki zawodowe oraz Samopomoc Chłopska.

W razie potrzeby komendanci MO mieli za zadanie wejść w porozumienie z kierownictwem zakładów pracy w celu „uregulowania zwolnień na ćwiczenia i służbę ormowców”.

W instrukcjach dla kierownictwa formacji podkreślano, że ormowiec powinien dbać o sprawność fizyczną poprzez uprawianie sportów, turystyki i wyszkolenie wojskowe. Musiał złożyć przyrzeczenie o treści: „Ja... przyrzekam sumiennie i gorliwie wykonywać obowiązki członka ORMO, ze wszystkich sił pomagać organom Milicji Obywatelskiej w utrzymaniu spokoju i porządku publicznego, zwalczaniu i ściganiu przestępstw, a w szczególności przestępstw przeciwko ustrojowi demokratycznemu, wykonywać rozkazy swoich przełożonych, zachowywać w tajemnicy wszystko, o czym dowiem się w związku ze służbą w ORMO, oraz strzec godności i honoru członka ORMO”.

FOT. NAC

ORMO powstało w 1946 roku. W szczytowym okresie PRL-u liczyła 400 tys. ludzi. -- Rezerwę rozwiązano w 1989 r.

Po przyjęciu do organizacji ormowiec otrzymywał zaświadczenie o członkostwie. W zaświadczeniu zaznaczano jednak, że ormowiec „nie jest uprawniony do samodzielnego aresztowania, przeprowadzania rewizji i sporządzania protokołów”. „Służbę ormowcy mogli pełnić tylko z funkcjonariuszami MO, wyjątkowo samodzielnie. Na czas służby można było przydzielać im broń. Podczas pełnienia służby ormowcy byli obowiązani nosić na lewym ramieniu opaski koloru biało-czerwonego z pieczęcią jednostki MO i osobistym numerem porządkowym” – dodaje Pączek.

Na czele Sekretarz

Pierwszym zadaniem, do którego skierowano ormowców było „zabezpieczenie” referendum ludowego 30 czerwca 1946 r. W okólniku Sekretariatu KC PPR z 8 marca 1946 r., rozesłanym, p;o posterunkach MO w całym kraju zalecano przyjmowanie w szeregi ORMO byłych partyzantów spośród robotników, chłopów, inteligentów, członków PPR i Związku Walki Młodych. Jednocześnie partia przestrzegała, „aby szeregi ORMO nie zostały zaśmiecone przez elementy niepewne, reakcyjne, przestępcze”. Sugerowano, by w każdym mieście powiatowym został utworzony oddział w sile 50-300 ormowców, a w gminie 30-50 ormowców.

Przez ponad dwie dekady ORMO okazało się pewnym elementem systemu represji. Dopiero po marcu 1968 r. część aparatu PZPR doszła do wniosku, że ORMO trzeba na nowo „zalegalizować: organizacji nadano szybko nowy statut; formalnie nie istniała od tej pory na szczeblu centralnym, dzieląc się na niezależne organizacje wojewódzkie, kierowane przez tzw. Społeczne Komitety, powoływane w całości przez Komitety Wojewódzkie PZPR.

Z reguły na czele SK ORMO stał zatem sekretarz KW PZPR, nadzorujący pracę organów sprawiedliwości i bezpieczeństwa; w niektórych województwach działalnością SK ORMO kierowali jednak wojewodowie lub ich zastępcy. W latach 70. w strukturach wojewódzkich formacji powołano tzw. Oddziały Zwarte i Brygady Ruchu Drogowego. Wydzielono je ze struktury Jednostek Zakładowych, związanych z zakładami pracy i Jednostek Terenowych, do których wstąpić mógł każdy chętny, o ile spełniał wymogi formalne.

Pan Samochodzik też

Do czego używano ORMO w czasie politycznych stabilizacji? Oddziały Zwarte używane były m.in. do ochrony wielkich imprez publicznych (np. międzynarodowe mecze piłkarskie, festyny, manifestacje itp.). Ich członkowie pełnili też społeczną służbę patrolową, niekiedy samodzielnie, zazwyczaj wspólnie z funkcjonariuszami MO.

Z kolei Brygady Ruchu Drogowego organizowano na bazie istniejącego od lat ruchu Społecznych Inspektorów Ruchu Drogowego (taką też nazwę nosili ich członkowie, w skrócie SIRD) i zajmowały się nadzorowaniem ruchu drogowego; ich członkowie mieli dość duże uprawnienia, choć bez prawa nakładania mandatów.

Gaz łzawiący i pałki

Ostatnie polityczne wielkie chwile ORMO przeżywało po wprowadzeniu stanu wojennego. Już pod koniec 1980 r. formacja zanotowała niewielki wzrost liczebności swoich szeregów - stan członków ORMO w całej Polsce wyniósł wówczas 461 tys. 394 osób.

W tym samym czasie, w opracowanej w KG MO informacji dla ministra MSW gen. Czesława Kiszczaka, zestawiono siły i środki na wypadek działań jednostek MO w „sytuacjach szczególnych”. W czasie spodziewanego stanu wojennego zamierzano wykorzystać 28 tys. 152 ormowców zorganizowanych w pododdziałach zwartych i 48 tys. 544 w wiejskich grupach samoobrony.

Po 13 grudnia ormowcy chronili miejsca zamieszkania rodzin funkcjonariuszy, emerytów i rencistów MSW, członków ORMO oraz aktywistów PZPR przed ewentualnymi atakami, aktami terroru, różnymi formami napaści i szykanami. Dowódcami grup zostali mianowani dzielnicowi w mieście i posterunkowi na wsi. Osoby działające w grupach samoobrony zostały wyposażone w broń palną, ręczne miotacze gazu łzawiącego oraz pałki.

W czasie debaty sejmowej na temat likwidacji organizacji 23 listopada 1989 r. za uchyleniem ustawy o ORMO głosowało 283 posłów, przeciw było 8, a 35 wstrzymało się od głosu. Ustawa zawierała zaledwie cztery artykuły. Istotnym postanowieniem było, że prawa i obowiązki majątkowe organizacji przejmuję Skarb Państwa.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A., 04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 9ba1bacde5

pod PARAGRAFEM

KSIĘGARNIA

Czy ona chce znów zabić?
W księgarniach ukazała się „Mimika” coraz popularniejszego w Polsce niemieckiego autora kryminałów – Sebastiana Fitzka. Hannah, policyjna konsultantka, zostaje skonfrontowana z najbardziej przerażającym przypadkiem w swojej karierze: całkowicie niewinna kobieta przyznaje się do bestialskiego zamordowania swojej rodziny. Z masakry ocalał tylko jej syn Paul.

ZA TYDZIEŃ

Polsko-żydowska wojna o własne Podlasie
U progu II RP Żydzi chcieli stworzyć swój okręg autonomiczny – wolną od Polaków żydowską Ziemię Obiecaną. Ze stolicą w Białymstoku.

FOT. CC

Z dziejów Marynarki Wojennej: tragiczny rejs kutra trałowego nr 2

Ryszard Leszczyński
redakcja@polskatimes.pl

Jesienią 1946 roku w drodze z Gdyni do Świnoujścia doszło do pierwszej po wojnie katastrofy w polskiej Marynarce Wojennej. Zginął jeden marynarz.

Ten tekst już ponad dekadę temu napisał Ryszard Leszczyński (1945-2021), były oficer i mechanik okrętowy pierwszej klasy, publicysta zajmujący się tematyką morską, autor m.in. opracowań monograficznych „Tragedie rybackiego morza" oraz „Ginące frachtowce". Skróty, śródtytuły i zmiany interpunkcyjne pochodzą od redakcji.

FOT. CC

ORP „Żuraw”, który brał udział w opisywanych wydarzeniach. Został zezłomowany na początku lat 80.

Początek tej historii można opatrzyć datą 2 listopada 1946 r. Tej soboty kontradm. Adam Mohuczy, p.o. dowódca Marynarki Wojennej, szef Sztabu Głównego MW, otrzymał bowiem pismo dowództwa Wojska Polskiego o numerze ewidencyjnym 01399 i wysokim stopniu utajnienia, nakazujące zmianę dyslokacji sił morskich RP. Trzy tygodnie później ten sam oficer sygnował rozkaz, na mocy którego wydzielił ze składu zespołów morskich i nakazał, aby gdyńską bazę opuściły, kierując się na pobyt stały do Szczecińskiego Obszaru Nadmorskiego, a dokładnie do Świnoujścia: trałowiec (nazywany wówczas trawlerem) ORP „Żuraw” (ŻR), poradziecki, noszący od niespełna siedmiu miesięcy banderę polską, częściowo opancerzony, uzbrojony w działka i karabiny maszynowe ścigacz okrętów podwodnych „Błyskawiczny” (S-71) oraz poniemiecki kuter trałowy (w latach wojny pełniący funkcję kutra desantowego, tzw. pionierlandungsboote) o numerze burtowym 2.

„Wszystkie jednostki mają być należycie zaopatrzone i wyekwipowane. Wyjście z Gdyni - pisał kontradmirał - powinno się odbyć w czasie od 27 do 29 listopada br., przy czym wszystkie wymienione okręty mają opuścić port razem, a dla przejścia, które ma być poprowadzone farwaterem przybrzeżnym, należy wybrać odpowiednią pogodę. (...) ORP »Żuraw« - dodawał w końcowym fragmencie pisma - weźmie na hol kuter trałowy nr 2, dowódcę trawlera wyznaczam zaś na dowódcę całości i na czas przeprawy czynię odpowiedzialnym za terminowe i należyte wykonanie rozkazu”.

Kurs na półwysep

Przygotowania do późnojesiennej podróży na zachodnie krańce Bałtyku skończyły się w piątek, 29 listopada. Prawdopodobnie tego poranka oksywską stocznię Marynarki Wojennej opuścił poddawany remontowi, prowadzony przez chorążego mar. Michała Sawańczuka, kuter trałowy nr 2, gotowość do drogi zgłosił kierujący ścigaczem „Błyskawiczny” 30-letni por. mar. Michał Anaszkiewicz, a dowódca „Żurawia”, przedwojenny nawigator „Burzy”, były adiutant adm. Mikołaja Abramowa, 31-letni kapitan mar. Klemens Kolasa, zapoznał się z resztą instrukcji i poleceń.

Mając opinię najbardziej doświadczonego z biorących udział w operacji oficera, wojskowego, który nie tylko świetnie zna routę, ale też dysponuje wiedzą, jakie akweny mogą skrywać niezwykle groźne pułapki minowe (niewiele wcześniej z powodzeniem zaholował do Świnoujścia kuter patrolowy „Batory”), wiedział dobrze, że w chwili pogorszenia warunków pogodowych, pojawienia się silniejszej, narastającej fali, powinien szukać schronienia w najbliższym porcie czy przystani. Nie mógł wiedzieć, że przeczekanie złej aury przy kei to jedyny często sposób, aby taki stan rzeczy zapewnić.

Około godz. 16, mając stan morza 3 i wiejące z kierunku nord-east wiatry, kapitan Kolasa odebrał meldunki potwierdzające, że procedury zezwalające na opuszczenie gdyńskiej redy zostały dopełnione. Padła zatem komenda zebrania kotwic, podania na kuter trałowy holu i podkręcenia biegu maszyn. Do tego uformowania szyku, który otwierał „Żuraw”, zamykał ścigacz por. Anaszkiewicza. Kurs prowadził na Hel.

Idzie na dno

Po niespełna godzinie, oglądając na lewym trawersie światła latarni helskiej, trawler zwolnił. Niedługo potem zatrzymał się, stanął w dryfie, a dowodzący - nie dysponując dobrymi środkami łączności - sięgnął po tubę, wypytując, czy na jednostkach nie dzieje się nic niedobrego. Czy można kierować się na Rozewie, przyspieszyć, wyjść na pełne morze. Po usłyszeniu odpowiedzi o „należytym porządku” kapitan ustalił nowy kurs. Konwój wykręcił, nie opuszczając wód polskiego przybrzeża.

W sobotę, 30 listopada, o godz. 6.38 zespół osiągnął boję numer 1 - punkt wyznaczający tor podejściowy do portu w Świnoujściu. Pogoda była nadal dobra, a niewielka, sunąca z southwestu fala przy stanie morza 2 nie wydawała się groźna. Kapitan Kolasa zmniejszył jednak moc tysiąckonnej maszyny do „małej” i odnotował, że na logu prędkość spadła do 9 węzłów. „W tamtym momencie - napisze w późniejszym meldunku - żadnych szarpnięć, dodatkowych oporów nie zauważyłem”.

Żegluga oznakowanym pławkami szlakiem wodnym przebiegała wciąż bez zakłóceń. Minęła godzina jazdy, zaczęła się druga, na zegarach dochodziła ósma. Niewiele później, kiedy okręty zbliżyły się na odległość kabla do boi nr 5, za rufą „Żurawia”, na kutrze, narastał dramat. Ciąg nagłych, trudnych do zrozumienia zdarzeń: najpierw niezwykle szybko osiadła w wodzie dziobnica, potem zniknął midship, w końcu bez śladu przepadła sterówka. Nieomal w jednej chwili utonęła sprawna technicznie, mająca za sobą drogę z Zatoki Gdańskiej jednostka.

Sygnatura L.0132

„Zaraz po wypadku ścigacz »Błyskawiczny« i ORP »Żuraw« wszczęły akcję ratowniczą - wyjaśniał w obszernym, datowanym 16 grudnia raporcie do naczelnego dowódcy Wojska Polskiego marszałka Michała Roli-Żymierskiego kontradm. Mohuczy - co pozwoliło wyłowić załogę, ale wśród uratowanych nie było mar. Tadeusza Dzierzgowskiego, który w czasie podawania mu liny utonął”.

Miejsce zatopionego kutra, który osiadł na głębokości 12 metrów, wyznaczają współrzędne: 54 stopnie 16,6 minuty szerokości geograficznej północnej i 15 stopni 6,3 minuty długości geograficznej wschodniej. Na pozycji tej przez następne dwie godziny pozostawał ścigacz „Błyskawiczny”, wybierając z morza pływające rzeczy i sprzęty.

Informacja o katastrofie stała się impulsem wystosowania 3 grudnia 1946 r. pisma o sygnaturze L.0132, w którym kontradm. Adam Mohuczy nakazywał dowódcy Szczecińskiego Obszaru Nadmorskiego kmdr. Włodzimierzowi Bruno Steyerowi, aby ten rozpoczął śledztwo, które wyjawić miało przyczynę raptownego zatonięcia jednostki.

Zebranie materiału dowodowego trwało siedem dni, a jego ocena pozwala nabrać przekonania, że powodem katastrofy było „uszkodzenie podwodnej części kadłuba po kolizji z niezidentyfikowaną przeszkodą podwodną bądź oderwanie się płata poszycia konstrukcji dziobnicy podczas holowania kutra pod fale”.

„Pouczyć personel”

„W powiązaniu z wynikami dochodzeń - pisał marszałkowi Żymierskiemu zwierzchnik kierownictwa Marynarki Wojennej - ukarałem dowódcę ORP „Żuraw”, kpt. mar. Klemensa Kolasę, 14-dniowym aresztem domowym, a dowódcę kutra trałowego nr 2, chor. mar. Michała Sawańczuka, aresztem 10-dniowym. Ponieważ zatopiony kuter znajduje się w odległości 48 mil morskich od portu w Świnoujściu, próby podniesienia go nie mogą być podjęte teraz, bowiem w grudniu dzień jest krótki, a czas niezbędny na dojście do miejsca zdarzenia i z powrotem to 8 godzin drogi. Równie ważna jest też pogoda, zimowe sztormy, które uniemożliwiają pracę. Te podjęte więc będą wiosną 1947 roku, kiedy warunki atmosferyczne ulegną poprawie”.

W dalszej części noty kontradm. Mohuczy uzupełnia szyfrogram z 16 grudnia 1946 r., tłumacząc fakt, dlaczego o wypadku utraty jednostki nie informował od razu dowódcy sił zbrojnych. „O zatonięciu kutra nie meldowałem, ponieważ była to jednostka mała, pomocnicza, pozostała po Niemcach, którą wyremontowaliśmy własnymi siłami, przeznaczając do stawiania wiech (oznakowania nawigacyjnego - RL)”.

W dniu, w którym wysłano do Warszawy szyfrogram, kontradmirał podpisał kolejne pismo, tym razem adresowane do kmdr. Steyera oraz dowódców dywizjonu ścigaczy, flotylli trawlerów i grupy kutrów szybkobieżnych. Rozkazywał w nim „pouczyć podległy personel, aby przepisy przewidziane w sposobie holowania małych jednostek na dłuższych trasach były ściśle przestrzegane”. Polecił również, by uniknąć w przyszłości podobnych katastrof czy wypadków, zwrócenie baczniejszej uwagi na kontrolę środków bezpieczeństwa załogi holowanego obiektu, zaznaczając zarazem, że wszelkie niedopatrzenia zostaną surowo ukarane.

„Odpowiedzialni za prawidłowy przebiegu operacji holowniczych - kończył kontradmirał Mohuczy - muszą pamiętać o ścisłej kontroli przygotowań jeszcze przed rozpoczęciem holowania”.

eprasa.pl 9ba1bacde5

Doradca ubezpieczeniowy/finansowy Roku. Poznaj uczestników MISTRZÓW HANDLU

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Niektórzy trafiają do doradców z teczką dokumentów. Inni nawet bez jednej kartki, za to z jednym wielkim „nie wiem". Są tacy, którzy przychodzą „tylko zapytać", a wychodzą z dobrym planem na najbliższe 20 lat.

Zanim pojawi się podpis na umowie dotyczącej ubezpieczenia czy finansów, trzeba odpowiedzieć na pytania, które nie zawsze są wygodne: co by było, gdyby? Co jeśli coś się wydarzy? Jak zabezpieczyć bliskich? To dlatego praca doradców ubezpieczeniowych i pośredników finansowych to przede wszystkim spokojna rozmowa, kalkulator, notatnik, ale i kubek kawy, bo to nie są krótkie rozmowy. Wbrew stereotypom, nie są też wyłącznie o liczbach. To tak naprawdę rozmowy o życiu - o własnym mieszkaniu, obawach związanych z kredytem czy zdrowiem, odpowiedzialności za rodzinę. O tym, jak spać spokojniej.

I właśnie to zdanie najlepiej oddaje sens tych spotkań. Doradca nie wyczaruje spokoju, ale pomoże uporządkować chaos informacji. Pokazać, jakie rozwiązania są realne, a jakie tylko brzmią dobrze.

Poniżej publikujemy dwie historie uczestników akcji Mistrzowie Handlu, którzy opowiadają o swojej codzienności.

Bezpieczeństwo finansowe to nie tylko posiadanie pieniędzy

Agnieszka Załęcka (Pośrednictwo finansowo - ubezpieczeniowe, Radom) podkreśla, że praca, którą wykonuje, przyczynia się do realnego wsparcia klientów w podejmowaniu kluczowych decyzji.

Zawód ten wymaga zaangażowania i nieustannego poszerzania wiedzy. - Jest to praca, w której realnie wspiera się klientów w podejmowaniu kluczowych decyzji zabezpieczenia finansowego zdrowia i majątku. Praca ta daje mi elastyczność zawodową oraz chęć budowania własnej niezależności finansowej. Zawód ten pozwala na samodzielne planowanie dnia i organizacje spotkań co umożliwia lepsze dopasowanie pracy do mojego życia osobistego - zaznacza Agnieszka Załęcka. Nasza nominowana do tytułu Doradca finansowy/ubezpieczeniowy Roku podkreśla, że profesja, którą wybrała, daje Jej dużo satysfakcji. U źródła której leży przekonanie, że jest potrzebna innym. Może bowiem służyć swoją wiedzą i doświadczeniem i pomagać podczas podejmowania kluczowych decyzji.

- Bezpieczeństwo finansowe to nie tylko posiadanie pieniędzy, ale zdolność do ich utrzymania i właściwego zarządzania. Najważniejsze to zadbać o swoje życie i zdrowie odpowiednią polisą życiową - przekazuje pani Agnieszka. Jej codzienność opiera się na kontakcie - z klientami oraz instytucjami. Dba przy tym, aby pozostawać na bieżąco z nowinkami ubezpieczeniowymi. Do tego dochodzi przygotowanie ofert, potem spotkania z klientami i badanie ich potrzeb, a w efekcie dobranie odpowiednich ofert.

To nie tylko polisy i liczby, ale wsparcie w trudnych chwilach

- To ich zaufanie i długofalowe relacje są dla mnie największą motywacją - podkreśla Łukasz Paleta (CUK Ubezpieczenia, Kozienice). Największe poczucie sensu daje Mu świadomość, że klienci czują się spokojniejsi.

- Zdecydowałem się na pracę doradcy ubezpieczeniowego, ponieważ chcę realnie pomagać ludziom w podejmowaniu ważnych decyzji dotyczących ich bezpieczeństwa i przyszłości. To zawód, który łączy wiedzę z budowaniem relacji i zaufania - przekazuje pan Łukasz. Największe poczucie sensu daje Mu świadomość, że dzięki Jego wsparciu klienci czują się spokojniejsi i pewniejsi swoich wyborów.

Radzi zacząć oszczędzanie od prostego kroku: przez miesiąc należy dokładnie spisać wszystkie swoje wydatki. Świadomość, na co naprawdę wydajemy pieniądze, to fundament każdej dobrej decyzji finansowej i pierwszy krok do wprowadzenia realnych zmian.

- Pewnego razu zgłosiła się do mnie młoda para, przekonana, że „na ubezpieczenie jeszcze przyjdzie czas". Spotkanie miało być krótką konsultacją, a przerodziło się w długą rozmowę o planach, obawach i odpowiedzialności za przyszłość dziecka, które było w drodze. Kilka miesięcy później odezwali się, żeby podziękować – niespodziewana sytuacja zdrowotna pokazała im, jak ważne było szybkie podjęcie decyzji. To był moment, który mocno przypomniał mi, że ta praca to nie tylko polisy i liczby, ale realne wsparcie w trudnych chwilach. „Od kuchni" wygląda to właśnie tak: dużo rozmów, uważne słuchanie i odpowiedzialność za rekomendacje - wyznaje pan Łukasz.

Liderzy w skali województwa we wszystkich kategoriach

SPRZEDAWCA ROKU

1. **Justyna Tomczyk,** Skan-Mir Drukarnia, Warszawa
2. **Katarzyna Szóstek,** Butik De Dos, Ciechanów
3. **Marta Muszalik,** Delikatesy Centrum, Żabia Wola

FLORYSTA ROKU

1. **Urszula Woźniak,** KWIACIARNIA W TE PĘDY, Kowala-Stępocina
2. **Małgorzata Kałuzińska,** Kwiaciarnia Bukiet, Legionowo
3. **Aleksandra Winiarska,** Kwiaciarnia Cuda Wianki, Piaseczno

POŚREDNIK NIERUCHOMOŚCI ROKU

1. **Klaudia Porzyczka,** Vivo Nieruchomości, Radom
2. **Dominika Kilińska,** Freedom Nieruchomości, Mińsk Mazowiecki
3. **Anita Budna,** Totu Nieruchomości, Warszawa

SKLEP ROKU - RÓŻNE BRANŻE

1. **Dr Materac,** Radom, Warszawska 105
2. **K&M Outlet,** Płock, Piaska 1A
3. **Sklep Spożywczo przemysłowy Izabela Janisiewicz,** Łaskarzew, Wolska 47

KWIACIARNIA ROKU

1. **Kwiatowe Szaleństwo,** Grodzisk Mazowiecki, Sienkiewicza 49/3
2. **Jasmina Garden,** Lipinki, Graniczna 12
3. **Art-Flor,** Lipowiec Kościelny 205

BUTIK ROKU

1. **Stylóweczka u Beci i Prezesa Mireczka,** Mińsk Mazowiecki
2. **Ramoneska,** Jastrzębia 109
3. **Butik Kup-Ciuszek,** Maków Mazowiecki, 2001 Maja 10

SKLEP Z ARTYKUŁAMI DLA DZIECI ROKU

1. **Sklep Okaidi,** Radom, Galeria Słoneczna, Chrobrego 1
2. **Ecobobo,** Warszawa, Rydygiera 14/U16

SKLEP Z BIŻUTERIĄ I SALON JUBILERSKI ROKU

1. **Maison de Pierre Galeria Ursynów,** Warszawa, al. Komisji Edukacji Narodowej 36/U52
2. **Beryl - Salon Jubilerski,** Radom, Chrobrego 2
3. **Salon Jubilerski Wójcik,** Ostrołęka, Gocłowskiego 11

DORADCA UBEZPIECZENIOWY/FINANSOWY ROKU

1. **Anna Wołosz,** Warta, Warszawa
2. **Agnieszka Załęcka,** Pośrednictwo finansowo - ubezpieczeniowe, Radom
3. **Magdalena Popiel,** Agent Ubezpieczeniowy Magdalena Popiel, Potkanna

EKO SKLEP ROKU

1. **Zdrowo Ogrodowo,** Kleczkowo, Korczaka 23

SALON OPTYCZNY ROKU

1. **Zakład optyczny TWOJE OCZY,** Gąbin, Stary Rynek 13
2. **Drugie Oczy Salon Optyczny,** Warszawa, Mińska 71 Lok.U12
3. **Optyk Mikulscy,** Warszawa, Guseppe Garibaldiego 4 /17P

Pełne aktualne wyniki głosowania znajdziesz na:
www.polskanews.pl/handel

eprasa.pl 9ba1bacde5

22. KOLEJKA EKSTRAKLASY

PIAST GLIWICE - MOTOR LUBLIN 1:2
Bramki: Sanca 79 - Ndiaye 3, Czubak 59

WIDZEW ŁÓDŹ - CRACOVIA 0:0

RAKÓW CZĘSTOCHOWA - BRUK-BET TERMALICA NIECIECZA 1:0
Bramka: Lopez 42

GÓRNIK ZABRZE - POGOŃ SZCZECIN 0:1
Bramka: Ulvestad 90+1

LEGIA WARSZAWA - WISŁA PŁOCK 2:1
Bramki: Adamski 23, Chodyna 83 - Nowak 73

ARKA GDYNIA - GKS KATOWICE 2:1
Bramki: Marcjanik 32, Rusyn 44 - Wdowiak 1

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK - RADOMIAK 1:1
Bramki: Imaz 64 - Wolski 55

1. Jagiellonia Białystok	21	37	37-24
2. Górnik Zabrze	22	34	32-9
3. Raków Częstochowa	22	34	28-25
4. Wisła Płock	22	33	24-18
5. Cracovia	22	33	27-22
6. Zagłębie Lubin	21	32	33-27
7. Lech Poznań	21	32	34-30
8. Korona Kielce	21	30	26-22
9. Radomiak Radom	21	28	36-33
10. Pogoń Szczecin	22	27	32-35
11. Lechia Gdańsk	21	28	44-41
12. GKS Katowice	21	27	28-31
13. Motor Lublin	22	27	30-37
14. Piast Gliwice	22	26	23-26
15. Arka Gdynia	21	25	19-36
16. Legia Warszawa	22	24	25-27
17. Widzew Łódź	22	24	29-32
18. Bruk-Bet Termalica	22	21	26-39

Program 23. kolejki:

Piątek, 27.02
Cracovia - Piast Gliwice (godz. 18.00), Arka Gdynia - Lechia Gdańsk (godz. 20.30)

Sobota, 28.02
Pogoń Szczecin - Widzew Łódź (godz. 14.45), Motor Lublin - Korona Kielce (godz. 17.30), GKS Katowice - Górnik Zabrze (godz. 20.15)

Niedziela, 1.03
Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Radomiak Radom (godz. 12.15), Jagiellonia Białystok - Legia Warszawa (godz. 14.45), Lech Poznań - Raków Częstochowa (godz. 17.30)

Poniedziałek 2.03

Zagłębie Lubin - Wisła Płock (godz. 19.00)

JEDENASTKA KOLEJKI

NAJLEPSI STRZELCY

14 goli
Tomas Bobcek (Lechia Gdańsk)
12 goli
Karol Czubak (Motor Lublin)
11 goli
Mikael Ishak (Lech Poznań), Sebastian Bergier (Widzew Łódź)
10 goli
Jonatan Brunes (Raków Częstochowa), Jesus Imaz (Jagiellonia Białystok
9 goli
Afimico Pululu (Jagiellonia Białystok)

BOHATER WEEKENDU

Rafał Adamski (Legia Warszawa)
Nowy napastnik „Wojskowych" potrzebował zaledwie 23 minut gry, by cieszyć się z pierwszego gola po przeprowadzce z Grodziska Mazowieckiego. Imponował także waleczną postawą na boisku. Jak tak dalej pójdzie, będą to najlepiej wydane pieniądze w sezonie. Na dodatek - pieniądze nieduże...

FOT. PAP

PKO Ekstraklasa Pierwszy mecz z nowym trenerem wygrał też Raków

Legia złapała tlen i zawróciła Widzew do strefy spadkowej

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

Dokładnie po 146 dniach oczekiwania Legia wygrała mecz w lidze. Feralną, rekordową w historii klubu serię przerwała w derbach Mazowsza z Wisłą Płock.

FOT. LUCYNA NENOW/POLSKA PRESS

Ważne punkty w kontekście utrzymania Motor Lublin wywalczył w delegacji w Gliwicach

Nieoczekiwanie bohaterami zostali dwaj debiutanci, a wcześniej trener Marek Papszun mocno zamieszał w składzie. Na ławce posadził krytykowanego Kacpra Tobiasza, wstawiając między słupki ściągniętego w zimie Otto Hindricha. W ataku zobaczyliśmy natomiast pierwszy raz Rafała Adamskiego.

Obaj debiutanci spisali się na medal. Rumun kilka razy wybronił drużynę, a Polak zdobył bramkę, korzystając z błędu golkipera Rafała Leszczyńskiego. Legia wypuściła prowadzenie, ale ostatni głos należał do niej - przed doliczonym czasem cios zadał Kacper Chodyna.

Legia zyskała punkty, ale może stracić czołowego obrońcę. I to na rzecz ligowego rywala. Według medialnych doniesień do Widzewa Łódź przejdzie reprezentant Demokratycznej Republiki Konga (był na niedawnym Pucharze Narodów Afryki), czyli Steve Kapuadi. Ten ruch ma być najdroższym wewnętrznym w historii PKO Ekstraklasy - mowa bowiem nawet o 3 mln euro. Kwotą przyjdzie się Legii jednak podzielić z Wisłą, w której 27-latek wcześniej występował. Drużynie z Płocka należy się aż 35 procent. Co ciekawe, jeszcze chwilę temu Kapuadi przebywał we Włoszech, gdzie w ostatnim dniu tamtejszego okienka nie wypalił mu transfer do występującego w Serie A Cremonese.

W weekend nie tylko Legia się przełamała. Pierwszy mecz pod wodzą nowego trenera Łukasza Tomczyka wygrał Raków Częstochowa. Skromnie, nie bez nerwów i kontrowersji sędziowskich udało się pokonać zamykającą tabelę Bruk-Bet Termalikę Nieciecza. Jedynego gola tuż przed przerwą strzelił Ivi Lopez. Wcześniej drużyna beniaminka domagała się bezskutecznie karnego za zagranie ręką Jeana Carlosa Silvy. Czy słusznie? Kolegium Sędziów PZPN błyskawicznie po tym meczu wydało oświadczenie, chwaląc prowadzącego zawody Pawła Raczkowskiego za interpretację zgodną z „Przepisami Gry". W tym konkretnym przypadku piłka miała być nieoczekiwana dla obrońcy, jego ręka nie poszerzyła tzw. obrysu ciała, a on sam nie wykonał ruchu do piłki - czytamy w argumentacji.

Tego samego dnia karnego za rękę dostała Pogoń Szczecin. I po tym karnym egzekwowanym przez Fredrika Ulvestada rzutem na taśmę pokonała na wyjeździe Górnika Zabrze. To dopiero drugie wyjazdowe zwycięstwo Portowców w tym sezonie - pierwsze od sierpnia. W meczu, w którym wystąpiło dwóch mistrzów świata (Lukas Podolski w Górniku i Benjamin Mendy w Pogoni) zwycięzcy rozkręcali się bardzo powoli, o czym świadczył fakt, że do przerwy nie oddali choćby jednego strzału.

Ważne punkty w kontekście utrzymania wywalczył Motor Lublin, wygrywając w delegacji z Piastem Gliwice. Decydującą bramkę zdobył Karol Czubak. Wicelidera klasyfikacji strzelców (12 trafień) chętnie widziałaby u siebie Pogoń, ale właściciel Zbigniew Jakubas nie chce go puścić nawet w zamian za 2 mln euro.

Kto zawiódł w tej serii gier? Bez wątpienia stworzony za ponad 100 mln złotych Widzew Łódź, który bił głową w mur przeciwko Cracovii. Dzień po bezbramkowym remisie do strefy spadkowej zawróciła go Legia, wygrywając swój mecz. - Jestem dumny z zespołu, z tego jak piłkarze walczyli - stwierdził jednak trener Łodzian Igor Jovicević.

©℗

Uśmiech na twarzy trenera Papszuna, któremu z serca spadł głaz, nie kamień

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Od września piłkarze Legii Warszawa mieli zwieszone miny, bo albo przegrywali, albo remisowali w ekstraklasie. W sobotę po zwycięstwie z Wisłą Płock oszaleli ze szczęścia.**

Legia, tak jak ostatnio w Katowicach, straciła prowadzenie, które w przeciwieństwie do meczu z GieKSą odzyskała jednak za sprawą gola Kacpra Chodyny.

- Wisła nie stworzyła zbyt wielu szans. Broniliśmy się nieźle. To nie jest jeszcze obrona, jaką ja bym widział, ale na ten moment, gdy skład nam się ciągle zmienia, to szacunek dla chłopaków, że to dowieźli. Pierwszy raz zobaczyłem drużynę w innych okolicznościach. W szatni nastąpiła duża eksplozja radości. To nie był kamień, to głaz spadł wszystkim z serca, że ta feralna passa została przerwana - zaznaczył trener Legii Marek Papszun w pomeczowej rozmowie z Canal Plus.

Trener stołecznej drużyny zaskoczył składem. Od początku wyszli choćby debiutujący bramkarz Otto Hindrich i napastnik Rafał Adamski. Obaj dali radę, a ten drugi strzelił nawet gola.

- Celem numerem jeden było zagranie na dwóch napastników (razem z Adamskim biegał Mileta Rajović - red.), żeby mieć mocniejsze pole karne, co sprawdziło się przy pierwszej zdobytej bramce - zaznaczył szkoleniowiec i dodał, że struktura Wisły też miała znaczenie dla wyboru składu czy ustawienia.

Papszun szalał w szatni z piłkarzami Legii po długo wyczekiwanym zwycięstwie.

- Jestem szczęśliwy, że przełamaliśmy tą fatalną passę i wygraliśmy. Gratulacje dla piłkarzy, sztabu i całej społeczności kibiców, którzy w nas wierzą i cały mecz nas dopingowali. To na pewno nam bardzo pomogło. Nie był to dla nas łatwy mecz. Przy takiej sytuacji w tabeli i długiej serii bez zwycięstwa nie jest łatwo się podnieść - podkreślił uradowany szkoleniowiec. - W końcu przełamaliśmy się i zdobyliśmy cenne trzy punkty. Wierzę, że to będzie takie odbicie, które da nam lepszą grę w kolejnych meczach. Musimy dalej pracować. To, że się nie poddaliśmy, zostało nagrodzone i to jest najbardziej pocieszające - kontynuował Papszun.

Po sobotnim zwycięstwie Legia awansowała na piętnaste miejsce i opuściła- choć tylko do niedzielnego popołudnia - strefę spadkową.

- Cieszę się, że widzę dookoła uśmiechniętych ludzi. Nie tylko piłkarzy i sztab, ale także pracowników klubu, którzy przeżywają mecze. Kibicowska społeczność jest olbrzymia. Zainteresowanie jest ogromne - stwierdził Papszun.

- To dopiero początek drogi. Liga jest bardzo wyrównana. Widzimy, jakie są wyniki. Nie jest łatwo wygrywać w polskiej lidze. W każdy mecz trzeba włożyć sporo wysiłku - podsumował trener Legii.

©℗

eprasa.pl 9ba1bacde5

Na nartach wstydu nie było

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Polskie biathlonistki zajęły szóste miejsce w rywalizacji sztafet 4 x 6 km podczas olimpijskich zmagań na trasach Anterselvy. To najwyższa pozycja Biało-Czerwonych w historii tej rangi imprezy.

Triumfowały reprezentantki Francji przed Szwedkami i Norweżkami. Polki startowały w składzie: Anna Mąka, Kamila Żuk, Joanna Jakieła i Natalia Sidorowicz.

Trasa nie była zbyt wymagająca - liczyła zaledwie dwa podbiegi. Na starcie stanęło 20 ekip. Każda z zawodniczek miała do pokonania trzy rundy po 2 kilometry.

FOT. PAP

Joanna Jakieła i Natalia Sidorowicz w strefie zmian biathlonowej sztafety 4 x 6 km

Nasze biathlonistki odrabiały skutecznie

Pierwsza z Polek - Mąka - na strzelnicy zawiodła: w sumie musiała dobierać aż cztery naboje. W tym momencie Biało-Czerwone spadły na 16. miejsce, tracąc ponad 46 sekund do prowadzących na zmianę Niemek i Francuzek. Te drugie niespodziewanie początkowo straciły kontakt z czołówką, zaliczając rundę karną (Camille Bened). Przez moment na czele była też brązowa medalistka na 15 km, Bułgarka Lora Christowa.

Żuk bezbłędnie strzelała w pozycji leżącej i zaczęła odrabiać straty. Stawkę otwierały Niemki, zawdzięczając to dobrej dyspozycji Franziski Preuss. Polka wyprowadziła drużynę na 10. miejsce, mimo konieczności dobierania naboi przy drugiej wizycie na strzelnicy.

Szybko na trzeciej zmianie to „Trójkolorowe" objęły prowadzenie, które urosło do ponad 40 s za sprawą Oceane Michelon. Biało-Czerwone były siódme i do podium w pewnym momencie traciły nieco ponad 10 s. To zasługa dobrze strzelającej Jakieła, choć za drugim razem musiała dobierać wszystkie przysługujące jej dodatkowe naboje; uniknęła jednak rundy karnej.

Na ostatniej zmianie emocji w walce o złoto nie było - Julia Simon minęła linię mety jako pierwsza i sięgnęła po trzecie złoto w Anterselvie. Wcześniej triumfowała na 15 km i w sztafecie mieszanej. Drugie były Szwedki, a trzecie Norweżki.

Natalia Sidorowicz wysunęła się przed ostatnim strzelaniem na piąte miejsce, musiała jednak dobrać wszystkie naboje i ostatecznie skończyło się na szóstej lokacie. Wcześniej, najlepiej polskie biathlonistki spisały się w Turynie (2006) i Pjongczangu (2018), gdzie uplasowały się na siódmej pozycji.

W ostatniej biathlonowej konkurencji - biegu ze startu wspólnego na dystansie 12,5 km - najlepsza z Polek, Joanna Jakieła, została sklasyfikowana na 11. miejscu.

Wygrała Francuzka Oceane Michelon, druga była jej rodaczka Julia Simon, a trzecia Czeszka Tereza Voborníková. 25-letnia zawodniczka, pochodząca z niewielkiego Vrchlabí u stóp czeskich Karkonoszy, wywalczyła pierwszy medal olimpijski.

Michelon wcześniej zdobyła złoto w sztafecie oraz srebro w sprincie, a najbardziej doświadczona 29-letnia Simon, w dorobku, oprócz srebra i złota w sztafecie, ma także złoto indywidualne i ze sztafety mieszanej z Anterselvy oraz srebro z Pekinu w sztafecie mieszanej.

Jakieła zanotowała dwie karne rundy i straciła do Michelon 1:04.8. Druga z Polek, Natalia Sidorowicz, zajęła 15. miejsce z stratą 1:25.9 (dwie karne rundy). Sobotni bieg zupełnie nie wyszedł Kamili Żuk, która popełniła aż 10 błędów na strzelnicy i była ostatnia w stawce 30 zawodniczek.

Dobry finisz biegaczy na 50 kilometrów

Eliza Rucka-Michałek zajęła ósme miejsce w biegu narciarskim na 50 km. Polska znakomicie rozegrała niedzielny bieg. Rozpoczęła na 26. miejscu, ale systematycznie odrabiała straty do rywalek walczących o brązowy medal. Niezwykle interesujące było ostatnie pięć kilometrów, gdy Polka coraz bardziej zbliżała się do 5-osobowej grupy. Niecałe cztery kilometry przed metą całkowicie odrobiła straty, ale później - niestety - nieco osłabła. Złoto wywalczyła Szwedka Ebba Andersson.

W tej samej konkurencji Dominik Bury uplasował się w sobotę na 12. miejscu, a najszybszy był fenomenalny Norweg Johannes Høsflot Klæbo. ©℗

Adamek i Weiszewski osiemnaste w bobslejach

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Polskie bobsleistki Klaudia Adamek i Linda Weiszewski, debiutujące na igrzyskach, zaliczyły cztery ślizgi i zajęły osiemnaste miejsce w dwójkach.

Polski duet Klaudia Adamek i Linda Weiszewski miał szanse na zakwalifikowanie się do ostatniego przejazdu, ale musiał zaprezentować się równie udanie jak w pierwszym ślizgu. Wówczas zajął piętnastą pozycję. W drugim popełnił więcej błędów i spadł na dwudzieste drugie miejsce.

Biało-Czerwone wykorzystały szansę. Dzięki dobremu rozpędzeniu bobu przez byłą lekkoatletkę Adamek miały trzynasty czas startu, a na mecie osiągnęły piętnasty wynik trzeciego ślizgu, co dało im osiemnaste miejsce ze stratą 3,15 sekundy do liderek.

W czwartym, finałowym ślizgu Polki zahaczyły płozami deski, co spowolniło ich przejazd i ostatecznie zakończyły rywalizację na... osiemnastym miejscu w dwudziestozałogowej finałowej stawce. Wprawdzie pojechały wolniej niż Francuzki, ale zdołały utrzymać miejsce wywalczone w trzecim ślizgu.

- Po takim zjeździe wynik powinien być dużo lepszy. Niestety, nie przeskoczę tego. Staram się z całych sił, ale to nie działa. Jak się nic nie zmieni, to dalej to nie będzie działać. Albo coś z tym zrobimy, albo nie. Jeżdżę może brzydko, ale to nie znaczy, że nie nabieram prędkości. Tyle że inne wcale nie jeżdżą ładnie, a jednak zapieprzają na torze. Nie mam słów, co tu się dzieje. Byłyśmy pewne, że dziesiątka będzie do zrobienia, a jesteśmy osiemnaste. Jestem z nas dumna, bo napisałyśmy historię na tych igrzyskach. Ludzie też powinni być z nas dumni, bo to jest wielki wyczyn zrobić coś takiego - powiedziała Weiszewski.

Adamek była czołową polską sprinterką, ale w 2024 roku porzuciła lekkoatletykę i została bobsleistką. Jest pierwszą polską sportsmenką uczestniczką zarówno letnich (w Tokio w 2021 roku wystartowała w sztafecie 4 x 100 m), jak i zimowych igrzysk.

- Dla mnie to był debiut w zimowych igrzyskach, choć nie był to debiut w... igrzyskach. Jestem zadowolona. Przeszłam do historii. Wyjeżdżam z tych igrzysk usatysfakcjonowana, bo poświęciłam wszystko, co mogłam, by pojechać na nie. Chciałyśmy zająć miejsce w piętnastce, ale tego nie osiągnęłyśmy. Jestem jednak zadowolona - przyznała Adamek.

Tytuł obroniły Niemki Laura Nolte i Deborah Levi z czasem 3:48,46. Srebrne medale przypadły ich rodaczkom Lisie Buckwitz i Nele Schouten ze stratą 0,53 sekundy. Podium uzupełniły Amerykanki Kaylie Humphries i Jasmine Jones (+0,75 sekundy).
©℗

FOT. EPA/PAP

Linda Weiszewski i Klaudia Adamek zajęły 18. miejsce

Polska sztafeta skialpinizmu – Januszyk i Elantkowski – blisko punktowanego miejsca

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

Polska sztafeta uplasowała się na dziewiątym miejscu w debiutującym na igrzyskach skialpinizmie, który odbył się w Bormio.

Skialpinizm to połączenie narciarstwa biegowego i alpejskiego. Zawody polegają na wspinaczce - częściowo na nartach, częściowo pieszo z nartami w plecaku - na określony punkt, z którego potem należy jak najszybciej zjechać. W sztafecie mieszanej każdy z zawodników pokonywał trasę dwukrotnie.

Polska sztafeta spisała się dobrze. Biorąc pod uwagę tegoroczne wyniki i indywidualne starty na igrzyskach (Iwona Januszyk kwalifikacje sprintu zakończyła na ostatnim, szóstym miejscu, a Jan Elantkowski był piąty -przedostatni), wyzwaniem dla Biało-Czerwonych było zakończenie rywalizacji w pierwszej dziesiątce stawki. Cel udało się osiągnąć.

Januszyk na swoich pętlach podciągała naszą sztafetę do ósmego miejsca, a Elantkowski bezskutecznie starał się tę lokatę utrzymać.Ostatecznie, po blisko 30 minutach biegu, zajęli dziewiątą pozycję na dwanaście startujących ekip, tracąc punktowane miejsce gwarantujące nagrodę PKOl w tokenach (10 tysięcy złotych do podziału) oraz półtoraroczne stypendium w wysokości 11,7 tysiąca złotych miesięcznie, fundowane przez Ministerstwo Sportu i Turystyki.

33-letnia chorzowianka była przybita po olimpijskim debiucie, ale po sztafecie odzyskała humor. - Zaraz po starcie przykleiło mi się tyle śniegu pod fokę (specjalna taśma pod nartę wykorzystywana przy wchodzeniu pod górę - przyp. red.), że nie mogłam z tym nic zrobić. To wina złego serwisu. To było straszne. Najstraszniejszy dzień w mojej karierze - płakała po sprincie w rozmowie z TVP Sport.

- Słuchajcie, od przedwczoraj mojego nazwiska już nie przekręcają. Tak strasznie, cholernie mi zależało, bo włożyłam w to wszystko i stąd ten wybuch emocji. Ja po prostu za bardzo też chciałam, ale siła wyższa zadecydowała, że nie mogłam powalczyć - przyznała po sztafecie z uśmiechem.

- Emocje były zdecydowanie inne niż na Pucharze Świata. Inne odczucia? Też tak. Cała ta otoczka tutaj, mieszkanie w wiosce i ten tłum kibiców, to było coś niesamowitego. W Pucharze Świata też pojawiają się kibice, ale tak wielu nie było nigdy. Pełne trybuny, a do tego tłum na trasie. Nawet polskie znajome twarze się pojawiły - opowiadał 25-letni zakopiańczyk. I dodał: Mam nadzieję, że za cztery lata znowu będzie dla nas miejsce w igrzyskach. Przed nami sztafeta. To dłuższy wyścig, bo trwa ponad 30 minut. Wolelibyśmy klasyczny skialpinizm, który prowadziłby wysoko w górę. Podobno Francuzi chcą go dołączyć do programu igrzysk. Oglądalność ma zapewnić sprint i pewnie tak będzie. ©℗

eprasa.pl 9ba1bacde5

Cztery polskie medale na igrzyskach w Italii

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Rozmawiamy z Konradem Niedźwiedzkim, szefem Polskiej Misji Olimpijskiej na igrzyska w Mediolanie.

Z czterema medalami wracają do kraju reprezentanci Polski z igrzysk olimpijskich w Mediolanie. To sukces Biało-Czerwonych, czy pozostaje niedosyt?
To jest dobry wynik. Przed igrzyskami mówiłem i wierzyłem, że przywieziemy więcej krążków niż z Pekinu, bo oceniałem, że będziemy mieć kilka poważnych szans i tak też się stało. Igrzyska na pewno można ocenić za udane.

Poza medalami reprezentanci Polski zajęli też kilka punktowanych miejsc tuż za podium, za co otrzymają również nagrody finansowe od Polskiego Komitetu Olimpijskiego.
To są cenne wyniki. Należy wspomnieć chociażby o wysokich pozycjach naszych biathlonistek w sztafecie, saneczkarek czy w snowboardzie. Dobrze zaprezentowała się także Maryna Gąsienica-Daniel. To świadczy, że byliśmy dobrze przygotowani do igrzysk we Włoszech.

Niesamowitego wyczynu dokonał zaledwie 19-letni Kacper Tomasiak. Debiutant na igrzyskach zdobył trzy medale, srebro i brąz w zawodach indywidualnych oraz srebro w konkursie duetów z Pawłem Wąskiem.
To wielki sukces. Cenny tym bardziej, że eksperci nie dawali naszym skoczkom wielkich szans, by mogli stanąć na podium. Ale igrzyska są od tego, aby zaskakiwać i to Kacper w pełni wykorzystał.

Srebrny medal w łyżwiarstwie szybkim na 10 000 metrów zdobył Władimir Semirunnij. Z nadziejami na medal do Italii jechali też jednak Damian Żurek czy Kaja Ziomek-Nogal.
Cieszymy się, że okres dwunastu lat bez medalu dla Polski w łyżwiarstwie szybkim na igrzyskach został wreszcie zakończony. Poza medalem Władka nasi reprezentanci zajęli kilka wysokich miejsc, do podium zabrakło ułamków sekund. Najwięksi faworyci byli po prostu w świetnej formie i były też niespodzianki jak chociaż Laurent Dubreuil na 500 m. Owszem, pozostaje jakiś niedosyt, bo Damian był bardzo blisko medali na 500 i 1000 metrów. Dwa czwarte miejsca to są jednak świetne osiągnięcia. W porównaniu do ostatnich igrzysk w Pekinie na pewno w łyżwiarstwie szybkim zanotowaliśmy spory progres.

FOT. PAP
Reprezentanci Polski zdobyli cztery medale na igrzyskach olimpijskich we Włoszech

Dużym echem odbiły się słowa, które po swoich zawodach wypowiedziała Andżelika Wójcik, zarzucając Polskiemu Związkowi Łyżwiarstwa Szybkiego przygotowania bez trenera do najważniejszej zimowej imprezy czterolecia.
Po całym zdarzeniu kontaktowałem się jeszcze z Andżeliką, ale nie mogliśmy porozmawiać, bo zawodniczka chciała dyskutować poprzez SMS-y, a to moim zdaniem nie do końca jest najlepsza forma komunikacji w takiej sytuacji. Przyszły tydzień będzie ważny, Andżelika otrzymała zaproszenie na spotkanie z zarządem związku i mam nadzieję, że wszystko sobie wtedy wyjaśnimy na spokojnie. Niestety, wkradło się trochę niepotrzebnych emocji.

Zawiedli reprezentanci Polski w short-tracku. Dość powiedzieć, że w rywalizacji kobiet i mężczyzn nikt nie zdołał awansować nawet do finału A.
Muszę się z tym zgodzić. Liczyliśmy na zdecydowanie więcej, zwłaszcza w sztafecie mieszanej. To wynik poniżej naszych oczekiwań.

Gospodarze igrzysk dobrze wywiązali się z organizacji imprezy?
Włosi stanęli na wysokości zadania. Spotkaliśmy się z serdecznością, otwartością i pomocą Włochów i tak zapamiętamy te igrzyska.

©℗

Polska bojkotuje. I słusznie! – Nikt nie jest od nas lepszy – mówią Włosi po igrzyskach

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Michael Phelps pogratulował norweskiemu biegaczowi narciarskiemu Johannesowi Høsflot Klæbo dołączenia z 11 złotymi medalami do grona najbardziej utytułowanych olimpijczyków wszech czasów.

– To niezwykłe. Gratulacje dla Johannesa Høsflot Klæbo za dołączenie do tego elitarnego grona – stwierdził legendarny amerykański pływak. – To niezwykłe móc oglądać coś, czego w historii igrzysk dokonało tak niewielu. Wiem, ile pracy i poświęcenia to wymaga. Czy zobaczymy cię jeszcze raz za cztery lata? – zapytał olimpijski multimedalista w pływaniu.

Klæbo sygnalizował wcześniej, że zamierza kontynuować karierę i startować także w igrzyskach, które w 2030 roku odbędą się we Francji.

Michael Phelps to najbardziej utytułowany olimpijczyk w historii. Na czterech kolejnych igrzyskach wywalczył 23 złote medale w pływaniu. Klaebo, który podczas kończącej się w niedzielę imprezy wygrał sześć na sześć konkurencji w biegach narciarskich, ma obecnie jedenaście złotych medali i jest najbardziej utytułowanym zimowym olimpijczykiem. Obaj są jedynymi sportowcami z dwucyfrową liczbą złotych medali olimpijskich.

Przez lata najbliżej tej granicy była Larisa Latynina (gimnastyka, ZSRR), która dziewięć razy stawała na najwyższym stopniu podium. Tyle samo krążków z najcenniejszego kruszcu wywalczyli Amerykaanie Mark Spitz (pływanie) i Carl Lewis (lekkoatletyka) oraz Fin Paavo Nurmi (lekkoatletyka).

Norwegowie Bjørn Dæhlie (biegi narciarskie) i Ole Einar Bjørndalen (biathlon) sięgnęli po osiem złotych krążków.

Skialpinizm górą

– W sumie na XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie sprzedano łącznie około 1,3 miliona biletów, co stanowi 88 procent całkowitej dostępnej puli – potwierdził szef komitetu organizacyjnego Andrea Varnier.

Kibice z Włoch stanowili 37 procent nabywców kart wstępu. Wśród zagranicznych fanów 15 procent stanowili Niemcy, a 14 proc. Amerykanie.

Całkowicie wyprzedano bilety tylko na jedną konkurencję – skialpinizm, który zadebiutował na zimowych igrzyskach olimpijskich w Bormio.

– Skialpinizm miał fenomenalny start, w naprawdę niesamowitej atmosferze – wyjaśnił szef komitetu organizacyjnego. – Warto również zauważyć, że było bardzo mało sesji (trzy zawody w ciągu dwóch dni), więc łatwiej było sprzedać 100 procent biletów.

FOT. PAP/SYLWIA WYSOCKA
Maskotki XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich i XIV Zimowych Igrzysk Paralimpijskich – gronostaje Tina i Milo

Do najpopularniejszych dyscyplin należały łyżwiarstwo szybkie, bardzo popularne w Holandii (95 procent sprzedanych biletów), short track (95 procent), łyżwiarstwo figurowe i hokej na lodzie (po 93 procent).

Rekord pobity

Polska wywalczyła cztery medale: trzy srebrne i jeden brązowy, zajmując ostatecznie 21. miejsce w klasyfikacji medalowej.

Trzy medale dla Polski zdobył skoczek narciarski Kacper Tomasiak: srebrny i brązowy indywidualnie oraz srebrny w duecie z Pawłem Wąskiem. Ponadto po srebro sięgnął Władimir Semirunnij w łyżwiarskim biegu na 10 000 metrów.

Bezkonkurencyjna okazała się Norwegia, która poprawiła rekord ustanowiony w Pekinie cztery lata temu, kiedy wywalczyła 16 medali z najcenniejszego kruszcu. Teraz Norwegowie sięgnęli po 18 złotych medali. Na podium stanęli zawodnicy z 29 krajów.

Chorążymi reprezentacji Polski podczas ceremonii zamknięcia XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich zostali wybrani Władimir Siemirunnij i Gabriela Topolska.

Polski protest

Przedstawiciele Ministertwa Sportu i Turystyki Polskiego Komitetu Paralimpijskiego oraz misji nie wezmą udziału w ceremonii otwarcia igrzysk paralimpijskich, które odbędą się w dniach 6-15 marca br. Weźmie w nich udział kilkunastoosobowa reprezentacja Polski. To efekt dopuszczenia do rywalizacji Rosjan i Białorusinów w ich narodowych barwach.

PKPar tym samym ponownie negatywnie odniósł się do decyzji Międzynarodowego Komitetu Paralimpijskiego (IPC) o dopuszczeniu rosyjskich i białoruskich sportowców do startu w 14. edycji zimowej paralimpiady.

W oświadczeniu podkreślono, że jest to „nie do zaakceptowania w obliczu trwającej rosyjskiej agresji na Ukrainę", tym bardziej że wyrażono zgodę na wykorzystanie przez sportowców tych państw flag i hymnów narodowych.

Włoska megalomania

„Igrzyskami niezawodności" nazwał włoski dziennik „Corriere della Sera" XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Gazeta podkreśliła, że wszyscy chwalą ich organizację i przebieg.

Publicysta dziennika Beppe Severgnini, dokonując podsumowania igrzysk w przeddzień ich zakończenia, przyznał, że ich finał wywołuje dumę i zarazem melancholię. – Po raz kolejny my, Włosi, zdołaliśmy przekształcić to, co mogło się wydawać kryzysem, w święto – stwierdził. – Nikt nie jest w tym od nas lepszy. Zagraniczne media choć raz są jednomyślne: przyznały nam najwyższe noty.

Dodał jednocześnie, że niestety nie został uszanowany rozejm olimpijski w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie. ©℗

eprasa.pl 9ba1bacde5

Igrzyska olimpijskie Łyżwiarka Kamila Sellier zniesiona na noszach

POLKA O WŁOS OD TRAGEDII

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Fatalny upadek podczas igrzysk w Mediolanie zaliczyła polska łyżwiarka Kamila Sellier. Zawodniczka trafiła do szpitala i na razie nie wiadomo, kiedy go opuści.

Łyżwiarka upadła i została uderzona łyżwą w twarz przez Amerykankę Kristen Santos-Griswold. Zniesiono ją z lodowiska na noszach i przetransportowano do szpitala. Tam przeszła badania, a następnie zabieg. Tomografia komputerowa wykazała niewielkie złamanie jednej z kości twarzy. Rana, jakiej doznała, dotyczyła kości policzkowej. Podczas zabiegu wszystko zostało oczyszczone i zszyte.

Urodzona w Elblągu 26-letnia zawodniczka, mimo poważnie wyglądającego wypadku, na szczęście czuje się dobrze, o czym poinformowała w internecie.

„Wiem, że to zdjęcie przypomni mi kiedyś, że jestem silniejsza niż mi się wydaje. Dziękuję za wszystkie słowa wsparcia i daję znać, że mam się całkiem dobrze" - napisała w mediach społecznościowych Sellier, publikując też zdjęcie połowy twarzy.

Zawodniczka w szpitalu w Mediolanie pozostaje na pewno co najmniej do poniedziałku.

FOT. PAP

Sellier doznała groźnie wyglądającego upadku podczas zawodów w short-tracku

- Czekamy na spotkanie z lekarzem chirurgiem, który przyjmował Kamilę i przeprowadzał u niej zabieg. Oko było opuchnięte, trzeba przejść przez poszczególne etapy, żeby można było iść dalej z leczeniem. W poniedziałek jest ważny dzień, bo dowiemy się od doktora, co dalej - wtedy powinniśmy wiedzieć coś więcej. Muszę zaznaczyć, że placówka, w której przebywa nasza reprezentantka, to jest bardzo dobry Szpital Uniwersytecki w Mediolanie. Przyjmowanych było tu podczas igrzysk wielu hokeistów, oni również narażeni są na podobne urazy, rozcięcia skóry. Na oddziale olimpijskim ma fachową opiekę. Jest w dobrym humorze, odpowiada na wiadomości też z humorem, więc jej samopoczucie jest naprawdę niezłe. Są z nią rodzice, którzy przyjechali do szpitala natychmiast po zdarzeniu, ma przy sobie bliskie osoby - powiedział w rozmowie z Polska Press szef Polskiej Misji Olimpijskiej w Mediolanie Konrad Niedźwiedzki.

- W obecnej sytuacji podróż samolotem byłaby zbyt ryzykowna. Ewentualny wzrost ciśnienia w oku byłby dla zawodniczki niebezpieczny - dodał.

W piątkowym ćwierćfinale na 1500 metrów odpadły też Natalia Maliszewska i Gabriela Topolska.

Podczas weekendu reprezentanci Polski rywalizowali również na torze długim w biegu masowym ze startu wspólnego w łyżwiarstwie szybkim. W rywalizacji kobiet do finału nie awansowała Natalia Czerwonka. W półfinale mężczyzn odpadł Władimir Semirunnij - srebrny medalista igrzysk w biegu na 10 000 metrów. ©℗

Adam Godlewski

„Krótka piłka"

IGRZYSKA IMIENIA TOMASIAKA

Zimowe igrzyska za nami. Emocji w polskim wydaniu było sporo, tych pozytywnych chyba nawet więcej niż zakładaliśmy. Trzeba jednak też uczciwie oddać, iż w drugim tygodniu rywalizacji (za) szybko wygasły. Z naszej perspektywy to były zawody imienia Kacpra Tomasiaka, który przyćmił innych reprezentantów. Pytanie tylko: czy nastoletni skoczek niespodziewanymi, sensacyjnymi wręcz rezultatami nie nałożył nam wszystkim różowych okularów, przez które oceniamy teraz start Biało-Czerwonych we Włoszech?

Pytanie zasadne w kontekście chociażby łyżwiarzy szybkich. Damian Żurek i Kaja Ziomek-Nogal rozdawali karty, ścigając się w Pucharze Świata, a na igrzyskach musieli zadowolić się miejscami tuż za podium. Czy to oznacza, iż źle przygotowali szczyt formy - nie na imprezę docelową - czy tylko tyle, że najmocniejsi konkurenci rywalizację w PŚ potraktowali po macoszemu, wszystkie siły rezerwując na igrzyska?

To oczywiście będzie przedmiotem analizy szkoleniowców i - jak zakładam - całych związków sportowych, gdyż wnioski przydadzą się na przyszłość. O ile Tomasiak atakował nawet nie z drugiego, tylko wręcz z trzeciego szeregu, o tyle Żurek i Ziomek-Nogal byli faworytami do medali. Podobnie jak Aleksandra Król-Walas. Największymi obok Władka Siemirunnija. Zagraniczni statystycy specjalizujący się w stawianiu prognoz dotyczących miejsc na podium to ich brali pod uwagę, a nie Kacpra, który z Italii wrócił z trzema nieplanowanymi krążkami. A może po prostu nie umiemy dźwigać presji ciążącej na faworytach?

Siemirunnij to zresztą osobny temat. Nie wszystkim w Polsce spodobało się, że kibice są zachwyceni srebrem wywalczonym przez Rosjanina jeżdżącego w naszych barwach. I nawet trochę rozumiem ten resentyment: przecież ta nacja, która jest powszechnie - w międzynarodowej przestrzeni - traktowana ostracyzmem po agresji na Ukrainę, nigdy pod naszą szerokością nie była lubiana. Na co przez wieki sobie zapracowała.

Tyle że nie podzielam owego resentymentu w odniesieniu do Władka, ktory wyraźnie odciął się od reżimu Putina, a poza tym cały świat (niestety) bazuje w tym momencie na sportowcach z importu, urodzonych w innych krajach. Zatem jeśli za cel mamy to, aby nam nie uciekł, musimy przyjąć globalne zasady gry. Sport to ciężka fizyczna praca i polskie dzieci - wychowywane w coraz większym (wiem, że to odważna teza) dobrobycie - nie będą się tak chętnie garnąć do tej roboty, jak w przeszłości. Takie są fakty, z którymi trudno polemizować.

W obrazkach, które zachowam z zimowych igrzysk Mediolan/Cortina d'Ampezzo, będzie też z pewnością dramatyczna scena upadku Kamili Sellier - za której powrót do zdrowia wszyscy w kraju ściskamy kciuki - podczas wyścigu w short tracku. Sport - zwłaszcza w zimowym wydaniu - bywa niebezpieczny, wiąże się z podejmowaniem zagrażającemu zdrowiu ryzyka, i o tej jego stronie też powinniśmy pamiętać, oceniając (często nazbyt surowo) naszych olimpijczyków. Choć, po prawdzie, dlaczego nasz narciarz, który zajął 82. miejsce w biegu na 10 km techniką dowolną, w ogóle wystartował w tej konkurencji na igrzyskach, pewnie nigdy nie zrozumiem...

Polski nastolatek w gronie największych gwiazd ZIO

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Królem XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich okazał się norweski biegacz narciarski Johannes Høsflot Klæbo, który zdobył sześć złotych medali.

Tym samym został pierwszym sportowcem z sześcioma złotymi medalami na jednych zimowych igrzyskach. Wcześniej dzielił rekord z amerykańskim panczenistą Erikiem Heidenem, który w 1980 roku w Lake Placid zwyciężył na pięciu dystansach indywidualnych: 500, 1000, 1500, 5000 i 10 000 metrów.

W sumie Klæbo zdobył w karierze trzynaście medali olimpijskich. Na dorobek 29-latka składa się rekordowa liczba jedenastu złotych krążków, a także po jednym srebrnym i brązowym.

Pierwsze miejsce w klasyfikacji wszech czasów w liczbie medali okupuje jego rodaczka, biegaczka Marit Bjørgen, która zakończyła już karierę, a wywalczyła łącznie 15 medali, w tym osiem złotych, cztery srebrne i trzy brązowe.

Na trasach w malowniczym Tesero w samym sercu Dolomitów Johannes Høsflot Klæbo wygrał wszystkie konkurencje biegowe. W klasyfikacji multimedalistów wszech czasów, obejmującej zimowe i letnie igrzyska, umocnił się na drugim miejscu. Najbardziej utytułowany amerykański pływak, którym jest Michael Phelps, wywalczył 23 złote krążki w latach 2004-2016.

- Wygrana w biegu na 50 kilometrów jest czymś szczególnym i niewiarygodnym - stwierdził norweski biegacz urodzony w Oslo, a mieszkający na co dzień w Trondheim. - W Norwegii mówimy, że jeśli chcesz stać się mężczyzną, musisz wygrać bieg na 50 km, a mnie się to udało, więc to idealny sposób na zakończenie dwóch doskonałych, ale i szalonych tygodni - dodał Klæbo.

Siedmioro sportowców może pochwalić się co najmniej czterema medalami wywalczonymi we Włoszech.

Pięć krążków zdobył rodak Klæbo - Sturla Holm Lægreid w biathlonie, ale żadnego złotego (trzy srebrne i dwa brązowe).

Do tego grona należy dołączyć francuską biathlonistkę Julię Simon, która ma trzy złota i srebro. Cztery wywalczyli też jej rodacy rywalizujący w tej samej dyscyplinie: trzy złote i brązowy Quentin Fillon Maillet, a Lou Jeanmonnot dwa złote, jeden srebrny i jeden brązowy krążek.

Takim samym dorobkiem, jak Fillon Maillet, tylko że w short tracku, może pochwalić się Holender Jens van 't Wout.

Kanadyjka Courtney Sarault w short tracku dwukrotnie była druga i dwukrotnie trzecia.

W gronie potrójnych medalistów jest m.in. nasz skoczek narciarski, 19-letni Kacper Tomasiak, który w Predazzo sięgnął po dwa srebrne i jeden medal brązowy.

Dzięki sukcesom, może liczyć na około 2 000 000 złotych premii finansowej z tytułu nagród z Polskiego Komitetu Olimpijskiego oraz Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Jednocześnie zapewnił sobie tzw. świadczenie olimpijskie, które od 1 stycznia tego roku wynosi 5116,99 złotych netto miesięcznie. ©℗

FOT. EAST NEWS

Za świetny występ olimpijski Kacper Tomasiak może liczyć na 1 980 000 złotych z tytułu nagród finansowych

eprasa.pl 9ba1bacde5

MAGAZYN
SPORTOWY
24

Rywalizacja imienia Tomasiaka za nami. Olimpijskie zmagania, których stolicami były Mediolan i Cortina d'Ampezzo, dobiegły końca STR. 21–23

FOT EPA/PAP

Włoskie igrzyska przeszły do historii

KAMILA SELLIER O KROK OD TRAGEDII NA TORZE W MEDIOLANIE STR. 23

Cztery polskie medale na igrzyskach w Italii. To trochę powyżej oczekiwań STR. 22

Piłkarze Legii wreszcie przełamali trwającą od września niemoc w PKO BP Ekstraklasie STR. 20

eprasa.pl 9ba1bacde5